

# Opowiadania dla dorosłych

**Zawsze jest jakieś dobre jutro.  
Usłyszeć losu bieg  
Przebaczenie**

**Blżej Boga  
Sofija  
Jak kawalki szkła**

**Krystyna Sztramska**

## **Zawsze jest jakieś dobre jutro.**

Maria stała nad wykopanym grobem męża i nie umiała wyskrobać ze swej duszy żadnej dobrej myśli, żadnego dobrego wspomnienia, nic co napełniłoby ją żalnością, tęsknotą, bólem odejścia. Była nieczuła, kiedy zamykano wieko trumny, kiedy ksiądz odprawiał pogrzebowe obrzędy, kiedy łoskot lin uświadomił jej że trumna opada na dno wykopanego dołu. Nawet odgłos rzucanych przez ludzi garści piasku i kamieni nie wstrząsnął nią tak, jak bywało na innych, „cudzych” pogrzebach. Stała sama, nie podtrzymywana przez nikogo, no może przez złośliwe i wrogie spojrzenie teściowej. Staruszka miała już chyba ze sto lat i choć niewiele jej zostało do przejścia na tamten świat wciąż ziała nienawiścią do swej jedynej synowej. To ta synowa właśnie winna była tego, że jej Januszek pił, że szukał zabaw i uciechy poza domem, że chodził na obiady do mamusi. Ona Maria widać była złą gospodynią, złą żoną, złą matką, skoro nie potrafiła dogodzić i wygodzić chłopu - mawiała. Jeszcze widać było kawałek księżowskiej sutanny pospiesznie opuszczającej cmentarz, kiedy teściowa ruszyła ku Marii z dziwną w jej wieku siłą i energią. - Ty stara suko - krzyknęła jej prosto w twarz - zabiłaś go.

Niespodziewane słowa targnęły ciałem Marii bardziej niż wiatr, który zerwał się nagle, jakby chciał dodać słowom starej większego znaczenia.

- Zabiłaś go, zabiłaś... - szloch teściowej łączył się z głuchymi odgłosami jej małych pięści na chudej piersi Marii. Maria stała nieruchomo, choć ciało jej drżało, a myśli uciekały jak karaluchy przed światłem. Suche, niewyplakane od wielu lat oczy bolały ją, jakby ktoś naproszył w nie opiłki żelaza. Mróz dostawał się pod cienką, przetartą od starości chustkę, wciskał się pod kusy płaszcz pamiętający jeszcze jej lata panieństwa, w płytkie rozdeptane buty. Ludzie bali się do niej podejść by nie narazić się na obmowę i zły język Bagonowej. Cała wieś знаła niewyparzony język starej. Nawet własne dzieci Marii bały się babki i omijały ją z daleka. A ona spluwała na ich widok gdy je przypadkiem spotkała, w sklepie, na drodze, czy nawet przy kościele. A i teraz Staszek stał z daleka. Pijany jak bela podtrzymywał cmentarny płot a jego fioletowa, nabrzmiała twarz była odbiciem wielu lat alkoholowych zapędów. Niedaleko padło jabłko od jabłoni. Zośka trzy lata temu uciekła do jakiejś sekty i ślad po niej zaginął. Czasem ktoś Marii donosił że widziano ją tu i ówdzie, ale Maria nie miała ani czasu ani pozwolenia męża by jej szukać. Sąsiedzi nieskorzy byli do zawierania z nią bliższych znajomości Jan konsekwentnie wszystkich odstraszał swym pijackim krzykiem, wyzwiskami, a i nieraz siekierą potrafił zagrozić...

Maria otrząsnęła się ze złych wspomnień, spojrzała przytomniej przed siebie. Stała sama, nie liczyć grabarza, który mocował się z twardą, zamarznąłą ziemią i układał pozostawione z boku kwiaty.

- Przyklepię go mocno, nie bój się już nie wstanie - zrzędził stary Wójcik z mściwym uśmiechem na czerwonej od wysiłku twarzy. Na gęstych czarnych wąsach i brodzie zamarzała mu para z ust tworząc mnóstwo drobnych kryształków. Maria oddała mu blady uśmiech - przypominał jej Świętego Mikołaja z dzieciństwa. Z dzieciństwa pachnącego ciepłem matczynych rąk, dobrym spojrzeniem ojca, dobrobytem, spokojem i bezpieczeństwem. Jak przez mgłę - ukazał się Marii jej rodzinny dom. Oj, rozpieszczali ja rodzice. Ptasiego mleka jej nie brakło. Ojciec gospodarz całą gębą, dbał, aby o jego córkach mówiło się tylko dobrze. Że piękne, dobre, pracowite i bogate.

Maria jako pierwsza miała we wsi rower, dżinsowe spodnie, radio tranzystorowe. Pół wsi schodziło się do ich domu na wieczorny telewizyjny dziennik, filmy, jazdę figurowa na lodzie. Maria jako najstarsza z trzech sióstr robiła w gospodarstwie najwięcej, pracowita była, dokładna, obowiązkowa. Ale też i ojciec nie żałował jej grosza na modne ubrania, ciasteczka w klubokawiarni, wiejskie potańcówki. Na takiej właśnie wiejskiej zabawie poznała Jana. Był ogromny, wysoki, dobrze zbudowany. Kiedy poprosił ją pierwszy raz do tańca utonęła w jego ramionach jak motyl zamknięty w dłoni. I już z tego uścisku wydostać się nie mogła. Zakochała się od pierwszego dotyku, nachalnego patrzenia w oczy, komplementów wypowiedzianych przez dobrze podchmielone już usta.

Ile jej się rodzice natłumaczyli, odradzali, krzyczeli wręcz, by się opamiętała, by zdjęła różowe okulary, by zobaczyła, kim Jan jest naprawdę. A opinie Jan miał nadszarpniętą. Pił, włóczył się po zabawach, bałamucił dziewczyny, bił je. Maria widziała tylko jego piękne, ocienione długimi rzęsami, czarne oczy i czuła dotyk jego dłoni na piersiach, pośladkach, ramionach. Nikt tego nie mógł jej odebrać. Kiedy zaszła w ciążę Jan uderzył ją po raz pierwszy. Mieli się pobrać i pewnie uważał, że już jest jego, że do niego przynależy, że może być już jej panem, władcą, królem, katem.

A po ślubie było jeszcze gorzej, bił ją codziennie.

- Jak się baby nie bije to jej wątroba gnije - śmiał się bezczelnie.

Zamknął Marię w domu, odciął od rodziców, sióstr, znajomych. A ona nie umiała i bała się odmienić swój los. Tylko do kościoła pozwalał jej początkowo chodzić.

- Bóg cię nauczy pokory - wołał za nią, kiedy wychodziła z domu. Ksiądz powiedział kiedyś do niego, że powinien szanować żonę, że ma taki skarb w domu, taką młodą i piękną żonę... I wtedy Jan zakazał Marii chodzenia także do kościoła.

- Nie będzie mi tu jakiś klecha baby bałamucił. Niech se swoją gospochę posuwa.

Upokarzał Marię, od kurew ją wyzywał, od ladacznic, darmozjadów. Bił po głowie, twarzy, ciągnął za włosy, zmuszał do oddawania się o każdej porze dnia i nocy. Kiedyś zastał ją na modlitwie przed ołtarzykiem jaki sobie zrobiła w domu. Figurka Matki Boskiej na nim była i krzyż z panem Jezusem konającym i obrazki świętych, nawet Aniołek jeden tam był. Maria leżała krzyżem, tak sobie umyśliła by prosić Boga o pomoc. Gdy to Jan zobaczył wpadł w furję. Porozbijał jej te wszystkie świętości, podarł, powyrzucał a ją skopał do nieprzytomności. Modliła się więc teraz sama w sobie pilnując by nie poruszać ustami, bo to też mogło Jana wyprowadzić z równowagi...

Maria poczuła jak po jej policzku spływa łza. Jedna, druga, trzecia. Przy Janie nie mogła płakać, to go „denerwowało”. Na cmentarzu nie było już nikogo. Była tylko ona, po raz pierwszy płacząca głośno i rzewnie i on, tam pod tą warstwą ciężkiej ziemi. I poprzez śnieg, poprzez piasek, poprzez wieko trumny zobaczyła go raz jeszcze, z nabrzmiałą twarzą, z wylupiastymi oczami, z pręgą od zaciśniętego sznura na szyi. Leżał tam zimny, bez ruchu, bez czucia. Nie upilnowała go, nie uratowała, choć wiedziała, że od kilku tygodni nosił się z tym zamiarem, z zamiarem odebrania sobie życia. I nie upilnowała go, ba, nawet pragnęła by w końcu to zrobił, wymodliła to sobie chyba. Miała rację teściowa - zabiła go. A teraz jego dusza błądzi gdzieś w dalekiej otchłani bo do Boga już jej nie po drodze...

Maria nabrała powietrza i odetchnęła głęboko jak po szybkim biegu. Była wolna. Nareszcie była wolna. I ten mały świat wokół, pochylone od wiatru gałęzie drzew, mały zsypany śniegiem cmentarzyk, ciemne chmury, czarne wrony stąpające bez strachu prawie u jej stóp, to wszystko, wydało jej się takie piękne, takie piękne jak obrazy z bajek o królewnach, dobrych wróżkach, rycerzach na koniach, dobrych krasnoludkach. Odwróciła się od grobu i od całej swojej złej przeszłości. Zmarznięte nogi stawiała sztywno, zachwiała się lekko ni to ze zmęczenia ni to z oczekiwania na nowe, nieznanne. Później przyspieszyła nagle, pobiegła na przełaj przez zaspę, grzęznąc w nich raz po raz jak zajac. Nie spojrzała już za siebie, biegła co tchu, by jak najszybciej uciec. Zdawało jej się, że goni ją cień Jana, że ciąży jej jego wymaginowana obecność, przykleja się do pleców, łapie za ramię. Z łoskotem zamknęła starą zardzewiałą furtkę i wtedy naprawdę poczuła jak jej stare życie zostało w tyle, odgródzone prętami cmentarnego płotu.

Pół roku minęło od śmierci Jana. Pół roku niechcianych wspomnień, natrętnych myśli, wyrzutów sumienia. Nikt nie dostrzegwał tych wewnętrznych zmagania Marii. Dostała pracę w pobliskiej szkole. Na wiosnę wyrzuciła stare graty po Janie, pootwierała szeroko okna, wpuściła do domu nowy czysty powiew. Odzyskana na nowo rodzina pomogła w zakupie nowych mebli, sprzętu, ubrań. Na okiennych parapetach zakwitły czerwone pelargonie. Do domu zaczęły zaglądać sąsiadki. Maria codziennie dziękowała Bogu za dobro, którym ją tak nagle obdarował. Ksiądz uśmiechał się do niej ciepło zza kratki konfesjonału, gdy powierzała mu swoje wątpliwości i rozdarcia.

A do Jana chodziła rzadko, tyle ile musiała żeby grób chwastami nie zarósł. Teściowa nie szczędziła jej przykrych słów, które przez ludzi docierały do niej i Marię wciąż one bolały jak ropiejąca rana. W dzień wszystko układało się dobrze, ale noce przynosiły jej łzy i udrękę. Jan nie dawał jej spokoju, przychodził w snach, męczył widokiem ciała dyndającego na haku, słowami, które raniły jak razy za życia, z pogrózkami, że nigdy się od niego nie uwolni. Maria nikomu o tym nie mówiła, bała się nocy, bała się snów, budziła się rozdygotana, obolała, coraz bardziej zmęczona.

Pewnego wieczoru zapukał do domu Staszek. Od pogrzebu nie pojawił się ani razu. Włóczył się, pił. Aż tu nagle stanął przed Marią wychudzony, brudny, zarośnięty. Maria przyjęła go jak syna marnotrawnego, umyła, nakarmiła, ogoliła. Spał przez trzy dni z przerwami na posiłek i toaletę. A kiedy już stanął na nogi zażądał od matki pieniędzy - Wiem, że pracujesz, że masz dzieńgi, albo mi je dasz, albo cię załatwię jak ojciec - wykrzykiwał i zupełnie jak Jan wymachiwał długimi rękami nad jej głową.

- Myślałaś, żeś wolna? Że będziesz się kurwić z każdym we wsi. Od dziś ja będę cię pilnował, ktoś musi zastąpić ojca.

W Marię wstąpił szatan chyba, a może to pomoc anioła była, bo chwyciła swojego syna za chude ramiona, ścisnęła palce aż zbielały jej kostki, syknęła z bólu i tak potrząsnęła tym słabym, wyniszczonym ciałem że się zachwiał niebezpiecznie i byłby upadł gdyby go Maria nie uniosła do góry, jak pusty worek po ziemniakach. A później krzyknęła jak potrafiła najgłośniej

- Ty mnie chcesz pilnować? Ty chcesz się w ojca bawić. Spróbuj mnie tylko tknąć, a tak jak on wylądujesz na cmentarzu. Już nikt nigdy nie będzie mną poniewierał, już nikt nigdy mnie nie uderzy, rozumiesz?

Jej głos zadrzał niebezpiecznie, zachryplł, serce waliło jak oszalałe.

- Wynoś się z mojego domu, wynoś się natychmiast. Nie chcę cię więcej oglądać!

Nigdy jeszcze Staszek nie widział matki w takim stanie. Przestraszył się jej wrogich oczu, zaciśniętych pięści, ust wykrzywionych złością i głosu chłoszczącego jak pijany woźnica zmęczone konie. Skulił się w sobie, zmałał, nikł jak parująca woda. Maria otworzyła zaciśnięte palce, powoli odwróciła się od syna i przez ramię rzuciła mu ostatnie słowa:

- Jak wrócę, ma cię tu nie być.

Kiedy wróciła już go nie było. Ale smutek po nim pozostał i miał już jej nie odstępować na krok.

To były trudne dni dla niej, przestała cieszyć się życiem, przestała chodzić do kościoła, w pracy stała się milcząca i smutna. Czuła, że coś z nią nie jest tak więc poszła do lekarza. Zmęczenie, objawy depresji - tak brzmiała wstępna diagnoza. Maria zaczęła pomagać sobie tabletkami. Ale to była tylko taka doraźna pomoc, wyciszająca jej ciało, emocje, nerwy, ale nie były w stanie wyciszyć jej duszy. Tam w środku, w sercu wszystko w niej tętniło, Jan mieszał się ze Staszkiem i na odwrót. Winiła siebie za śmierć męża, za złe wychowanie syna, za nieudaną córkę, za swoją samotność, pustkę i beznadzieję. Nikomu nie była potrzebna, nikomu tak naprawdę na niej nie zależało. I wtedy pewnej nocy wpadła na wspaniały pomysł. Tak, to mogło się udać, to mogło ją wybawić z wszelkich udęk, rozpacz. Układała swój mały misterny plan całą noc. Opracowała go w najdrobniejszych szczegółach. Nie mogła doczekać się ranka. I gdy tylko słońce zajrzało pierwszym promieniem w jej okno przystąpiła do działania.

Pierwszym autobusem pojechała do miasta. Odszukała sklep ogrodniczy. Czekala jeszcze, nim pierwszy pracownik otworzył drzwi. Kiedy weszła rozejrzała się dookoła - czy aby dostanie to co chciała. Były, równiutko ułożone i związane sznurkiem, żółte łopatkki, kolorowe wiaderka, ogrodowe grabki. Tego było jej potrzeba, małych narzędzi, lekkich i wygodnych do niesienia i mocnych do pracy w ziemi. I ochronnych rękawiczek, i sznurka brązowego, żeby się nie odróżniał od gałęzi. A później zaszła do apteki. Wykupiła tabletki, miała dwie recepty. Wracala szczęśliwa, że jej się udało wszystko załatwić. Przygotowała sobie w domu kilka kanapek na drogę, nalala zimnej herbaty w butelkę - zapowiadał się pracowity, długi dzień, i ruszyła w drogę. Szła w kierunku cmentarza, ludzie uśmiechali się do niej mijając ją. Myśleli, jaka ta Maria dobra jest, jaka litościwa, do takiego drania po śmierci przychodzi, o grób dba, modli się. Ale Maria ominęła cmentarną furtkę i poszła ścieżką dalej.

Kilka kilometrów przed nią rozciągał się wielki stary las. Już stąd było widać rozłożyste korony starych dębów i wysmukłe kształty sosen. Maria nie spieszyła się, miała czas, dużo czasu. Musi się do tego dobrze przygotować. Las był naprawdę ogromny. Mało uczęszczany, bo przez wiosenne opryski pól nie trzymały się tam ani grzyby, ani jagody ani inne leśne owoce. Maria weszła w głąb drzew, gałęzie zahaczały ją o ramiona, twarz, ale ona chciała znaleźć się w samym jego sercu, w najgłębszej głuszy. I znalazła malutką polankę, całą w niebieściutkich niezapominajkach, w sam raz dla niej. Promienie słońca dochodziły tu jak przez sitko i rozpraszało się tuląc do każdego listka, każdej trawki, każdej gałązki.

Maria była zmęczona, te kilka kilometrów na jej nogi to była niezła zaprawa. Kanapki smakowały jak nigdy w życiu. Herbata też. Po krótkim odpoczynku zabrała się do pracy. Nałożyła ochronne rękawiczki. Żółtą łopatką zaczęła kopać ściółkę. Ziemia była twarda, sucha, ale to Marii nie zrażało. Pomagała sobie rękami, wydierała trawę, mech, wydłubywała kamienie. Wrzucała to wszystko do wiaderka i odchodziła kilkanaście kroków by rozsypać ziemię wokół drzew, tak by nikt przypadkiem nie rozpoznał jej tajemniczej ingerencji. Dołek nie był duży, kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Maria zebrała więc kilka zeschniętych gałęzi, powiązała je brązowym sznurkiem i ułożyła tak zrobiony daszek nad swym wykopaliskiem. Do domu wracała jak żołnierz z niewoli. Utrudzona, zmęczona, słaba ale szczęśliwa. Nie miała siły się umyć, nie miała siły się rozebrać. Pierwszy raz od pogrzebu męża zasnęła zdrowym, silnym, snem. Obudziła ją dopiero jasność następnego dnia. Był to jednak dzień z nowym celem, nowym planem. Podczas śniadania nie wzięła swojej „porcji” tabletek. Wyjęła z pudełeczek listki z ukrytymi w środku maleńkimi białymi pigułkami. Pogłaskała je czule szczupłymi palcami. I schowała ponownie. Na razie nie będą jej potrzebne.

Minał tydzień odkąd Maria chodziła na swoje leśne wyprawy. Jeden dzień musiała opuścić, bo padał dzień. Ale za to później kopanie szło łatwiej i szybciej. Z dołka zrobił się dół i już można było się w nim schować leżąc skulonym na jego dnie. Maria sprawdziła, ułożyła na dnie trochę trawy, mchu, igliwia, przykryła przyniesionym z domu starym kocem. Weszła do dołu, pasował idealnie. Rękami przysunęła powiększony, umocniony daszek i zasłoniła nim otwór nad głową. Położyła się na kocu, wtuliła twarz w szorstką tkaninę. Tak było dobrze. Tak zaśnie, tu w tym pięknym lesie, wśród szumu drzew, śpiewu ptaków, zapachów i iskier słońca. Już jutro zaśnie w tym cichym ustronnym miejscu a Bóg niech się zlituje nad jej grzechem i niech wspomocze gdziekolwiek ona, Maria się uda..

Następnego dnia Maria posprzątała dom, obeszła swoje małe podwórko, omiotła je pożegnalnym spojrzeniem jak gospodarz wyjeżdżający na dłużej ze swoich włości. Ubrała najładniejszą sukienkę. Na stół położyła swoje tabletki. Policzyła je dokładnie jedna po drugiej choć wiedziała ile ich jest. Było sześćdziesiąt. Miała nadzieję, że to wystarczy. Zawinęła je w białą jedwabną chusteczkę i schowała do torebki. Kanapek nie robiła, tylko trochę herbaty do popicia, nic więcej nie będzie jej potrzebne. Dzień był wymarzony na odejście. Ludzie kłaniali się i uśmiechali do Marii gdy szła taka wyprostowana, wystrojona przez wieś. A ona odwzajemniała im ten szczery uśmiech.

- Nasz Maryjka chyba jakiegoś adoratora ma...- doszedł ją głośny szept sąsiadek zgromadzonych przed sklepem. A ona zęgnęła się z nimi wszystkimi trzepotem nagle wilgotnych rzęs, ustami otwartymi w szerokim uśmiechu, dłońmi gniotącymi bezwiednie fałdy plisowanej sukienki.



Dopiero w lesie poczuła się swojsko i bezpiecznie. Odnalazła swój dołek. Weszła do niego. Rozwinęła chusteczkę. Spojrzała jeszcze raz na wślizgujące się przez drzewa słońce, westchnęła: - Boże wybacz - i nachyliła się nad swym ostatnim stołem nad swym białym śmiertelnym ołtarzykiem.

Odgłos jaki usłyszała nad sobą sparaliżował jej ruchy. Bała się podnieść głowę. To sapało, rzeziło, charczało. Dzik? - pomyślała przerażona. Inną jej śmierć wybrał Bóg, ocalić chce ją od grzechu, od wiecznego potępienia? Trwała w bezruchu może pięć może dziesięć minut. Sapanie ucichło. „Coś” przycisnęło się, siadło chyba. Maria czuła bardziej niż słyszała obcy oddech. Jak długo miała trwać tak w bezruchu? Jeśli to coś chce ją zaatakować niech się to stanie teraz, natychmiast. Maria wolno uniosła twarz, spojrzała w górę. I od razu napotkała czujne punkciki przerażonych oczu. Wpatrywał się w nią pies, chyba zwykły kundel. Sierść miał splątana, zmechacona, poprząskana zielskiem, patykami jakimiś, kłębami włosów. Z pyska zwisał długi język, a oczy zaropiałe, opuchnięte, zażawione przykrywała siateczka czerwonej pajęczyny. Pies wyszczerzył zęby, zawarczał, przysiadł na tylnych łapach, a potem uspokojony nicnierobieniem Marii zaczął dreptać w miejscu. Jego krótki, może urwany lub ucięty ogonek zaczął poruszać się delikatnie. - Spokojnie, spokojnie - odezwała się szeptem Maria. - Nic ci nie zrobię - Wysunęła rękę chcąc pogłaskać psinkę. Ale psiak znów wystawił zęby i przyjął wroga postawę. Wtedy Maria zobaczyła zwisający u szyi sznurek, jego poszarpana końcówka świadczyła o tym, że pies musiał się urwać, że ktoś go uwiązał do drzewa w lesie. Maria położyła się delikatnie, przymknęła oczy. Przypomniała jej się kołysanka, jaką jej matka śpiewała w dzieciństwie. - Dobranoc mówi dzień, dobranoc oczka zmróz - zanuciła cichutko. Pies uspokoił się. A Maria śpiewała, śpiewała, aż zaschło jej w gardle, aż oczy zamknęły się ze zmęczenia i ostatnich przeżyć. Obudził ją jakiś ruch. Lotem błyskawicy przypomniała sobie co się stało. Wokół panowała ciemność. Ręką natrafiła na coś ciepłego, miękkiego. Pies spał przytulony do jej brzucha. Maria uśmiechnęła się czule i zapadła w ponowny sen. Świt zastał ją śpiącą z psem u boku. Wstała więc delikatnie i wygrzebała się z dołu. Pies patrzył czujnie ale nie reagował. - Chodź - zawołała Maria - chodź pójdziemy do domu.

Ale psisko nie ruszyło się z miejsca, więc Maria osłoniła go daszkiem i pobiegła do domu sama. Musiała przecież przynieść mu coś do jedzenia, do picia, bo zamiast niej umrze on w tym leśnym grobie. Nareszcie była komuś naprawdę potrzebna. Usłyszała, że ptaki radośniej śpiewają, skacząca po drzewie wiewiórka wesoło wywija swoją rudą kitą a drzewa kołysząc się szumią: - Jesteś mu potrzebna, jesteś mu potrzebna...

Dni nabrały teraz innego smaku. Niczyj, bo tak go nazwała Maria, był nieufny. Siedział w swoim wygodnym dołku i nie chciał z niego wyjść. Maria stawiała mu jedzenia i picie, ale on przy niej nie ruszył niczego. Jednakże, gdy wracała następnego dnia miski były puste. Maria przemawiała do psa czule, jak do dziecka, śpiewała mu, śmiała się. A on tylko patrzył swymi już mniej czerwonymi oczami, obserwował jej każdy ruch, skomlał gdy wieczorem odchodziła, skomlał gdy rano wracała. Piękniał. Godzinami wylizywał swą sierść, łapał pchły, czyścił pazury. Maria wrzuciła mu kawałek drewna, którym ostrzył sobie zęby. I mówiła, mówiła bez końca. Jeszcze do nikogo nie wymówiła tylu słów jak do tego opuszczonego zwierzątko. Piękniała. Jej włosy nabrały połysku, oczy blasku a czoło wypogodziło się i wygładziło. Tabletki czekały w szafce, bo teraz przecież Maria Niczyja zostawić nie mogła. Już go zaczęła oswajać, już był trochę jej, już czuła się za niego odpowiedzialna.

I stało się, że po kilku dniach wspólnego przebywania Niczyj wykaraskał się z dołu. Kiedy Maria szła do domu on z opuszczonym ku ziemi łbem drobił szybciułko swymi psimi łapkami za jej nogami. Wszedł na podwórko, do sieni, pokoju. Usiadł na fotelu Jana i tak już został, główny lokator domu. Opiekun, przyjaciel, obrońca. Ktoś najbliższy jej sercu. Podarunek losu.

Kiedy podczas układania w szafkach znalazła swoje tabletki uśmiechnęła się z zażenowaniem. Wyłuskiwała je kolejno z foliowych miseczek i wrzucała do ubikacji. Jedna za drugą, sześćdziesiąt razy jej ręka otwierała się i tabletki z cichym pluskiem dotykała wody. I sześćdziesiąt razy Maria wzdychała :

- Dziękuję ci Boże, dziękuję ci Boże, dziękuję ci Boże...

Ten swoisty różaniec oczyścił jej serce, wybielił duszę. Była darem dla kogoś, ktoś potrzebował jej istnienia. Nie wiedziała jeszcze, że Pan Bóg dopiero zaczął „pisać równo na krzywych liniach jej życia”

Niczyj zerwał się z fotela i z wielkim jazgotem wyskoczył na podwórce Maria wyjrzała oknem. Przy bramce stała krótko ostrzyżona dziewczyna. W rękach trzymała zawiniątko. Marii jej twarz wydała się jakaś znajoma. - Zośka - krzyknęła - Zośka wróciła.

Zosia stała bez słowa. Jej oczy rysowały jakiś dziwny wzór na piasku. Maria podchodziła powoli, jej twarz, oczy nie wyrażały żadnego uczucia, żadnych emocji. Dziecko spało z otwartymi ustami. Nagle uśmiechnęło się przez sen. Maria wzięła je na ręce. Odetchnęła ciepłym, niemowlęcym zapachem. Przytuliła je do swojej szyi i zrobiła znak krzyża na jego okrągłej główce. A potem odwróciła się w stronę domu. Zosia szła pokornie za nią, ale już wiedziała, już się cieszyła, że znajdzie tu dom i schronienie. Przez okno z naprzeciwka jakiś kobiecy głos wyśpiewywał ciepło: - Zawsze jest jakieś dobre jutro...

## Usłyszeć losu bieg.

- Mamo ratuj!

Hanna tak zwracała się do matki, gdy miała kłopoty. Nie pomóż, nie zrób, nie wysłuchaj, tylko ratuj. Bo dla Hanny każda sprawa, każdy problem wymagał natychmiastowej interwencji, natychmiastowego rozwiązania. Patrzyła teraz na Justynę wielkimi oczami oczekując pomocy. Wygięte do tyłu smukłe ciało robiło wrażenie, że córka dźwiga ciężar nie do uradzenia. Na brzegach rzęs czaiły się łzy. Hanna podniosła źrenice do góry by nie pozwolić im się wydostać na zewnątrz.

- Ratuj - zachrypnięty głos córki ranił jak kawałki rozbitego szkła - będę miała dziecko!

Justyna zadrżała. Taka radość, taki podarunek losu. Spojrzała na córkę ze szczęściem w oczach. Jak mogła pomylić strach ze wzruszeniem!

- Tak się cieszę córeczko - wyciągnęła ręce do tej wysokiej dziewczyny, którą jeszcze nie tak dawno nosiła na rękach - myślałam, że się coś złego stało.

- Stało się mamo! - Hania zgasiła jej radość jak dogasającą świeczkę - ono nie będzie miało ojca!

- Jak to nie będzie miało ojca? A Staszek? - zapytała Justyna zdumiona.

- Staszek - Hanna nerwowo pocierała dłonie - Staszek od trzech miesięcy jest w Irlandii... Nie, to nie jego dziecko...

- Więc czyje!?! - Justyna krzyknęła nie panując nad głosem.

Oczy Hanny znowu zaszyły mgłą. Cóż miała powiedzieć? Że ojcem jej dziecka jest przypadkowo poznany mężczyzna? Że знаła go zaledwie kilka godzin, gdy wskoczyła mu do łóżka?

- Mamo, ja nie chcę tego dziecka! - Hanna zakryła twarz rękami - Staszek mi tego nie wybaczy.

- Boże! - zatrwożyła się Justyna - Staszek! Był wymarzoną kandydatem na męża jej córki. Dobry, pracowity, zaradny. Ta Irlandia miała im pomóc ustawić się w życiu. Justyna już widziała córkę w ślubnej sukni, już wybierała meble do nowego mieszkania, już urządzała jej piękne i dostatnie życie. Teraz te marzenia miały się rozpaść, pęknać jak bańka mydlana? Miało tego wszystkiego nie być, bo jej córka się zapomniała? Justyna chciała wnuka, pragnęła go z całego serca, ale przecież nie tak, nie w tej kolejności, nie z kimś przypadkowym, nieznanym...

Nagle cofnęła się myślami do swojej młodości. Czyżby historia miała się powtórzyć? Czy jej córka mogła się też tak zakochać jak ona dwadzieścia lat temu? Justyna zaczerwieniła się od tamtych wspomnień. Odpięła guziczek bluzki przy szyi. Nabrała więcej powietrza w płuca. Zakręciło się jej w głowie. Oparła się dłońmi o kuchenny blat. Wczepiła się w niego rękami jakby chcąc zatrzymać to co jej pamięć wracała z taką dokładnością i wyrazistością. Potrząsnęła głową próbując strzepnąć z siebie niechciane myśli. Ale było już za późno. Sceny jak górską lawinę potoczyły się jedna za drugą i nie było już siły, żeby je zatrzymać. Musiała sobie wszystko jeszcze raz przypomnieć, przeżyć na nowo, odsłonić w sobie to, co zatarte, odsunięte, zapomniane... Musiała...

Lato było gorące tamtego roku. Słońce wędrowało po bezchmurnym niebie i przypiekało dachy domów, wysuszało korony drzew, zwijało liście i żółciło trawę. Smoła na asfalcie zamieniała się w gęstą lepka ciecz a z lip opuszczały się krople słodkiego miodu układając się na ziemi jak cienie drzew. Psy leniwie chowały się w najchłodniejsze zakątki i z wywieszonymi językami szukały wody. Ludzie narzekali dokoła i kto mógł uciekał za miasto. Nawet dzieciom nie chciało się biegać i krzyżeć, upał gasił ich ruchliwe zapędy, znacząc ich nagie, opalone ciała kroplami potu i kurzu. Powietrze stało jak żołnierz na warcie, nawet szeroko pootwierane okna nie dawały namiastki rzeźkości. Justyna nic nie robiła sobie jednak z żaru lipcowych dni. Wykorzystywała upragnione wakacje na czytanie ulubionych lektur. Trudny rok ukończyła zaliczeniami i egzaminami w najlepszym stylu.

Matka patrzyła na nią dumnym wzrokiem i pozwalała, by miała teraz czas tylko dla siebie. Co prawda wolałaby, by Justyna wyjechała gdzieś z przyjaciółmi nad wodę, w góry czy gdziekolwiek indziej. Ale ona wybrała sobie taki sposób odpoczynku. Siedziała więc teraz na trzecim piętrze w ciasnym, parnym mieszkaniu z nogami w misce z zimną wodą i nieodłączną książką w ręku. Dźwięk telefonu musiał się powtórzyć kilka razy zanim dotarło do niej, że to w jej mieszkaniu, że matki chyba nie ma i że to ona musi odebrać rozmowę.

-Tak? - jej nieprzytomny głos świadczył o tym, że jest gdzieś jeszcze po za zasięgiem, w innym świecie.

\*

- Co ty dziewczyno robisz jeszcze w mieście? Tak myślałam, że kogo, jak kogo, ale ciebie w domu zastanę. Pakuj się, mam miejsce w namiocie, zabieram cię na Mazury! - w słuchawce coś zatrzeszczało, ale zaraz doleciały do Justyny następne słowa:

- Wiesz Aśka zachorowała, ma ospę. W tym wieku wyobrażasz sobie? Cała jest wysypana, a tu taki upał. No, ale pomyślałam, że ty byś mogła jechać na jej miejsce. Co ty na to?

- Nooooo... nie wiiiieem... głos - Justyny przeciągnął się odwlekając odpowiedź.

- Będzie fajnie, zobaczysz! I Aśka jedzie i Romek... O żarcie się martw już wszystko kupiłam....

Justyna zamknęła oczy - może naprawdę fajnie byłoby wyjechać na kilka dni z tej „parówki”.

- No i co? Dasz się skusić? - Jolka nalegała.
- Dam- nieoczekiwanie dla siebie odpowiedziała i uśmiechnęła się zadziwiona swoją zgodą.
- No to fajnie, wpadnę do ciebie wieczorem to obgadamy szczegóły.
- Jasne - odpowiedziała oszołomiona tym, że tak łatwo się zgodziła, że już jutro będzie nad jeziorem, wśród śpiewu ptaków, zapachu wody, plusku fal. Poczwała smak przygody. Wyciągnęła z pawlaczka stary, zapomniany plecak i zaczęła pakować potrzebne rzeczy.

I było rzeczywiście wspaniale. Całe dni opalali się z przyjaciółmi, grali w piłkę, skakali do wody. Nocami włożyli się po plaży. Słuchali żab i wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo. Chłopcy palili ogniska a dziewczyny wróżyły sobie z iskier unoszących się ponad wierzchołki sosen. Po kilku dniach dobił do nich Bogdan. Od razu się w nim zakochała. Bezprytomnie i z wzajemnością. Po tygodniu sypiali razem. I było to zupełnie coś innego niż historie, które czytała w książkach. Wypiękniła. Jej ciało nabrało złocistego odcienia a w oczach pojawił się dziwny blask.

Nie wiedziała, że tak można pragnąć czyjejś bliskości, czyjegoś ciała. Nie krępowały ją znaczące spojrzenia i niezbyt dobrze ukrywane uśmieški. Nie dbała o opinię otoczenia. Przytrafiła jej się pierwsza ogromna miłość i nie miała zamiaru z niej zrezygnować. Z łatwością dała się namówić Bogdanowi na dalsze wojaże po Polsce. Bogdan miał pieniądze, dużo pieniędzy. Bywali więc w knajpach, hotelach, zajazdach. Wszędzie się kochali. Do utraty tchu, do zapomnienia, do umęczenia. Wróciła z wakacji szczęśliwa i dziwnie odmieniona. Matka nic nie mówiła, ale patrzyła za nią zaniepokojonym wzrokiem. Później ten niepokój przykleił się i do niej. Ale przecież nie była sama. Miała kogoś kogo kochała nad życie, a teraz jeszcze doszedł ten cudowny owoc ich miłości. Umówiła się z Bogdanem na mieście. Spodziewała się wybuchu radości. Wspięła się na palce by wyszeptać mu tę słodką tajemnicę wprost do ucha.

- Nie wierzę że dziecko jest moje - skwitował brutalnie nowinę.

Zabolało, zacisnęło serce i usta.

- Nie dam się zrobić w bajkę o tatusiu Poszukaj innego frajera.

Justyna odskoczyła jakby ktoś chłosał ją pokrzywą. Poczzerwieniła z bólu, wstydu i złości. Jej miłość i wiara w drugiego człowieka spływała zimnym dreszczem wzdłuż kręgosłupa i nóg w niewielki kawałek chodnika na którym stała. Czowała jak wyparowuje z niej radość z pojawienia się w niej tej małej istotki. Zmusiła zeszywniałe nagle nogi do odwrotu. Uciekała od Bogdana jakby to ona była winna, jakby ona zawiodła, jakby dopuściła się zdrady. Bez słowa skargi, próśb, wyjaśnień. Zresztą, co tu było do wyjaśnienia? Bogdan już ją osądził, już wybrał swoją wolność i niezależność. Zrzucił wspólny ciężar na jedne słabe, kobiece barki. Odważnie i bez namysłu. Odpowiedzialny facet... Biegła do domu układając w sobie to co się przed chwilą stało, co usłyszała a czego usłyszeć nie powinna. Taka roztrzęsiona i zapłakana wpadła do mieszkania. Matka akurat odlewała ziemniaki. Coś musiało ją jednak zaniepokoić w wejściu córki bo odstawiła garnek i zbliżyła się do niej obejmując rękami. Matka, która tak lubiła gderać z byle powodu nie powiedziała nic. Kołysała ją tylko w swoich ramionach kojąc jej rzewny płacz.

- Mamo ratuj - Justyna chlipała jak dziecko - mamu ratuj...

Teraz jej córka stoi przy niej i woła - mamu, ratuj! A ona, Justyna nie umie jak jej matka objąć ją i zamknąć w swoich ramionach. Coś ścisną ją mocno za serce, jakaś ogromna żałość, utracona nadzieja, dziwny ból przekreślonych złudzeń i niespełnionych planów. Jej córka tak samo patrzy pustym wzrokiem jak ona dwadzieścia lat temu. Serce rwie się na kawałki, gdy widzi się taką beznadzieją rozpacz.

- Będzie dobrze - szepcze ocierając rękawem kłujące łzy. Zmusza się, by objąć córkę niechętnymi rękami i nie ma w niej przyzwolenia i akceptacji na to co się dzieje. Głos się jej łamie gdy powtarza w kółko
- Będzie dobrze, będzie dobrze... - ale nie potrafi oszukać ani siebie ani córki, że wierzy w to co mówi...

Samotne macierzyństwo, na które się w końcu Hania pod ich namowami zgodziła, ciążyło jak ogromny kamień. Ale dźwigali je wierząc, że tak musi być, że tak trzeba. Pewnie same nie dałyby rady. Ale był przecież Adam. Mężczyzna, któremu obie bezgranicznie ufały. A on postanowił, że to jest jedyne dobre wyjście. Że to dziecko musi przyjść na świat, że on Adam zrobi wszystko by było szczęśliwe. Wiedziały, że potrafi, że jest jedynym facetem na świecie, który podoła każdym przeciwnościom losu. Adam. Mężczyzna, który był dla Hani nie tylko ojcem, ale i powiernikiem dziewczęcych tajemnic, doradcą pierwszych miłosnych uniesień, przyjacielem od wszystkich ważnych i mniej ważnych spraw. Teraz spoglądał na nią czule dziwiąc się że nie dopuszcza go już do siebie tak blisko. Nie narzucał się jednak. Czekał. Wiedział, że jego królowna „otworzy” się w końcu i tak jak dawniej powierzy mu bóle swojego serca. Znał to cierpienie malujące się na jej twarzy i to dziwne smutne zapatrzenie w siebie z niewidzącym wyrazem oczu przypominającym szklane koraliki w miejscach oczu lalek. Kiedyś Justyna wpadała w takie stany często. Wtedy, gdy ją poznał, gdy z nią zapragnął być i jeszcze długo po tym jak przyjęła jego rękę. Teraz jego ukochana córka ma ten sam wyraz ust, oczu, nawet tę samą zmarszczkę na czole. Nie było



innego sposobu na tę jej troskę jak tylko trwać, być, czuć.

Justyna wiedziała, że Adam w końcu znajdzie drogę do serca Hani. Zawsze można było na niego liczyć. Od pierwszej chwili poznania. Od tamtego pamiętnego dnia w parku...

Siedziała wtedy na ławce czytając książkę. Postanowiła, że nie zaniedba nauki. I teraz właśnie przygotowywała się do kolejnych egzaminów. Godziła jakoś studia z opieką nad małą. Dzięki matce udawało się wszystkie obowiązki pogodzić, ustawić tak by mała miała szczęśliwe dzieciństwo a i ona nie pogrzebała swych marzeń i planów. W parku było cicho. Gdzieś dalej z piaskownicy dochodził gwar dziecięcych głosów. Ale Hania bawiła się piaskiem obok. Lepiła babki pukając w foremkę plastikową łopatką. Nagle nie wiadomo skąd nadjechał rowerzysta. Zbyt szybko i zbyt blisko. Nie zdążyła krzyknąć, żeby uważał, że dziecko. Nie zdążyła odsunąć małej która wypuściła się od ławki za daleko. Hania upadła potrącona kołem roweru. Rozpłakała się głośno ściągając ciekawskie spojrzenia spacerujących. Zaraz też zebrała się gromadka ludzi tworząc wokół wścibski wianuszek.

- Trzeba dzwonić po pogotowie- zawołał ktoś z zebranych widząc jak na piasku tworzy się ciemno-czerwona plama. Justyna drżącymi rękami podnosiła małą nie zwracając uwagi na tłumaczenia rowerzysty...

- Może ja się na coś przydam? - zapytał jakiś mężczyzna roztrącając zebranych - Mam tu blisko samochód. Skinęła głową. Pozwoliła sobie odebrać dziecko. Pozbierała swoje rzeczy z ławki i pełna trwogi ruszyła za nieznanym. Hania wtuliła się w ramię mężczyzny brudząc go krwią przesiąkająca przez przyłożoną chusteczkę

- Już po bólu - uśmiechnął się lekarz oddając jej dziecko - Kilka szwów tuż przy włosach. Nie będzie widać jak urośnie.

- Byłaś wspaniała - chirurg zwróciła się do Hani podając jej rękę.

- Mąż też był dzielny - dodał puszczając oczko do Justyny - faceci zazwyczaj mdleją przy pierwszej kropli krwi. Mężczyzna zaczerwienił się nie wiadomo czy od tej lekarskiej pochwały, czy z tego połączenia ich w małżeństwo. Ale słowa lekarza jak biblijne proroctwo spełniło się po jakimś czasie. Bo Adam od tej pory wkroczył do ich życia na stałe. Wtedy, po tym wypadku odwiózł je obie do domu i przesiedział przy łóżeczku Hani całą noc czuwając czy nic złego się nie dzieje. Później przychodził codziennie sprawdzać jak się czuje. Przynosił czekoladki i zabawki. Rozkochał Hanię w sobie. Z wzajemnością.

Z Justyną było trudniej. Ciągle jeszcze myślała o Bogdanie. Rana po nim nie chciała się zagoić, bolała jak nie wyciągnięta drzazga. Adam był cierpliwy. Umiał czekać. I kochać. Tak mocno, że tej jego miłości starczało dla ich całej trójki. Zaraził ich swoją dobrocią, wśliznął się do Justyny serca wąską szczeliną, oswoił z tym co może jej dać, co może ofiarować. Nie dało się tego nie przyjąć. W końcu postać Bogdana zaczęła blednąć. A ciało i serce Justyny zapragnęło kochających, bezpiecznych rąk i szczęśliwej rodziny. Myślała, że tak już będzie zawsze. Że przyszłość córki jej wszystko wynagrodzi. Teraz ta ciąża. Następna próba, którą przyjdzie im razem pokonać. I której końca nie można przewidzieć.

Mówią, że kłopoty mają moc ściągania innych nieszczęść. Pewnie tak, skoro Justyna pewnej nocy poczuła się na tyle źle, że trzeba było jechać do szpitala. Potrzebna była operacja. I to natychmiast. Nagle cała troska i skupienie uwagi przelało się z Hanny na Justynę. Czuwali przy niej dniem i nocą, choć Justyna tłumaczyła córce, że to ostanie stadium ciąży i że musi teraz o siebie szczególnie dbać. Ale Hania tylko machała ręką i pchała się z dość pokaźnym brzuchem na jej łóżko, głaskała jej bladą twarz i trzymała ze rękę.

- Będzie dobrze, będzie dobrze - powtarzała słowa zaklęcia, które i jej jakoś pomagały ufnie iść ze swym brzemieniem w nieznaną przyszłość. Justyna nie miała tej siły i tej pogody ducha co Hania. Załamywała się każdą złą wiadomością, każdym nienajlepszym wynikiem, każdym grymasem na twarzy lekarza. Wciąż dokuczały jej bóle i gorączka.

Skarżyła się więc Adamowi i jemu powierzała swe niepokoje i żale. On je przyjmował ze swoim stoickim spokojem i zapewniał, że cokolwiek się stanie on będzie jak kapitan statku, zawsze przy sterze i przy swej załodze. Justynę to jeszcze bardziej denerwowało, podnosiła głos bez powodu i rzucała oskarżycielskie słowa przeciw Bogu, który ją tak ciężko doświadcza.

Przychodzi jednak taka chwila, taki znak, gdy trzeba sobie uświadomić, że każdy człowiek ma jakiś swój ból, jakiś krzyż, większy lub mniejszy. Nowa pacjentka, która przywieziono na inwalidzkim wózku była tym znakiem, który odsunął cierpienia Justyny na dalszy plan. Pani Janeczka wtargnęła w szpitalne życie z ogromnym hałasem, z radosnym śmiechem i głośnym dzień dobry na powitanie. Przyciągała spojrzenia ogromnymi oczami i długimi włosami. Mówiła jak najęta. Słowa wylewały się jednak z jej ust dziwnie miękkim szelestem dając uszom specyficzną przyjemność. Żartowała, tryskała humorem i rzucała iskierki pełne życia do wszystkich napotkanych po drodze. Mimo niesprawnych nóg. Mimo choroby, której nie można było wyleczyć. Pusta i niema sala nagle ożyła, rozgadała się zagłądającymi do środka pielęgniarkami i przygodnymi pacjentami.

- Jak się pani czuje, pani Janeczko?

- Co pani przynieść, pani Janeczko?

- Czy coś trzeba pomóc pani Janeczko?

Chora z niezmiennym uśmiechem na ustach zgadzała się na pomoc, przyjmowała ją z wdzięcznością i pokorą. Justyna zazdrościła jej tej otwartości i szczerości w okazywaniu uczuć. I tego spokoju mimo kalectwa i braku radzenia sobie samej. Mogła się od niej uczyć, jak pokonywać ból i cierpienie.

Ale pewnej nocy obudził ją cichy płacz. Tkliwy, żalony, rozdzierający serce. Tak płaczą małe dzieci albo marczące koty. Justyna zsunęła się niezdarnie ze swojego łóżka i bosą podeszła do płaczącej sąsiadki. Chora drgnęła czując obcą rękę na swojej dłoni.

- Boli panią coś? - Justyna czuła że musi pomóc.

- Nie - chora westchnęła ocierając łzy - czasami nie mam po prostu sił, dlatego płaczę.

- Rozumiem, z taką chorobą niełatwo musi pani być.

- Choroba chorobą - Janeczce załamał się głos - gorsza jest samotność. Dlatego lubię szpitale. Tu zawsze tyle ludzi obok.

Justyna zamarała z wrażenia. Szpital jako ratunek przed samotnością?

- A mąż? Przecież dzwoni codziennie.

- Mąż? - Janeczka wybuchnęła nagle - on chce rozwodu. Znów ma jakąś młodą panienkę. Po co mu taka kaleka jak ja...

- To niemożliwe - Justyna nie wiedziała jak zareagować.

- Możliwe, możliwe. Swoje kochanki do domu sprowadza. Mnie w pokoju zamyka, milczeć każe. - Janeczka szeptała głośno patrząc niespokojnie w stronę drzwi. Czyżby była pierwszą, której się z tego zwierzała?

- A dzieci?

- Trzy razy poroniłam. Może dlatego mąż się domu nie trzymał. Bo jeszcze przed moja chorobą za babami latał.

- Może więc lepiej jednak rozwód?

- Kaleką jestem. Opieki potrzebuję. I kocham go. Nawet, gdy zdradza. Zawsze przecież wraca. Teraz się dziwnie uparł. Ale ja mu nie dam rozwodu, nigdy! - Janeczką zaczęło trząść jak w febrze. Odwróciła się od Justyny. Zakryła kocem.

Justyna bezradnie opuściła ręce. Wróciła do swojego łóżka nie mogąc zasnąć długo w noc. Wciąż w jej uszach brzmiał ten rozpaczliwy cichy krzyk. I ta niemoc, silniejsza od cierpienia.

Dzwoniła właśnie do Adama. Wołała rozradowana w słuchawkę, że lekarz obiecał ją wypuścić do domu, że wyniki są dobre i że wszystko już teraz będzie w porządku, gdy do sali wszedł mężczyzna. Rozejrzał się dokoła a później jego wzrok padł na Justynę. Telefon wypadł jej z ręki. Bogdan. Zmienił się trochę, posiwiał, postarzał się, ale to był ten sam Bogdan. Jej Bogdan. Justyna poczuła jak pot wąską strużką płynie jej po skroni. Poczzerwieniała z wrażenia. Odnalazł ją po tylu latach. Właśnie tu w szpitalu. Co się musiało stać, że zapragnął ją zobaczyć. Poczowała dziwne mrowienie w stopach, w dłoniach. Przyglądała włosy, poprawiała dekolt podomki.

- Bogdan! - zawołała zapominając o krzywdzie jaką jej wyrządził. O tęsknocie i bólu wkradającej się w jej myśli przez wszystkie te lata. O łzach wylewanych w poduszkę, o których Adam nie wiedział, o których wiedzieć nie powinien.

Mężczyzna zatrzymał się zdziwiony. Nagle zaskoczenie, jakie wypłynęło na jego twarz nie budziło wątpliwości. Nie dla Justyny przyszedł do szpitala. Nie jej tu szukał. Teraz nie wiedział jak się zachować. Z trudem rozpoznał swoją wakacyjną miłość ze studenckich lat. Nie wypadało jednak udać, że jej nie zna i wyminąć bez słowa.

- Witaj - podszedł do niej wyciągając rękę, dziwnie zmieszany.

Justyna nie zauważyła zażenowania Bogdana. Jakaś dziwna radość zmieszana z zawstydzieniem ogarnęła jej duszę. Stał oto przed nią mężczyzna, którego kochała pierwszą wielką miłością. Mężczyzna, którego kochała jeszcze dzisiaj. Gdyby tylko powiedział jedno słowo, gdyby zechciał. W jednej chwili zapomniała o Adamie, o wspólnie z nim przeżytych latach. Wszystko nagle przestało się liczyć. Był tylko on i ona. Jak bumerang wróciła nagle tęsknota za jego dłońmi ciasno splecionymi na jej biodrach, za spojrzeniem wnikałym w każdy zakamarek jej duszy, za pocałunkiem tak silnym a jednocześnie delikatnym, że nogi ugiwały się w przyływie rozkoszy i podniecenie.

Obrazy z przeszłości znów zaatakowały z ogromną siłą. Ten, kiedy stoją w wodzie przy świetle księżyca a on Bogdan polewa ją wodą zamkniętą w skulonych dłoniach. Ona wygina swoje szczupłe ciało pewna jego wdzięku i powabu. Śmieje się zupełnie pozbawiona wstydu... I ten, gdy siedzą przy ognisku. Roziskrzonymi od żaru i pożądania oczyma szukają siebie nawzajem rozbierając się wzrokiem z wszystkich szmatek, z całego ubrania. Później w pośpiechu kryją się w namiocie i zgłodniałymi wargami dopadają do swych ust... I ten gdy płyną łódką samym środkiem jeziora. Bogdan straszy, że wyrzuci łódź a ona piszczy z uciechy i nie wierzy mu w żadne słowo. Później pozwala mu położyć się na swym rozgrzanym ciele by jedną małą chwilę zamienić w raj na ziemi...

- Bogdan - powtarza i patrzy na niego jakby się czas zatrzymał, jakby obudziła się w namiocie i przed sobą zobaczyła wpatrzone w siebie zakochane oczy.

- Wybacz - Bogdan puścił jej rękę, którą wciąż ścisnęła - ja do żony.

Do jakiej żony? Justyna zdrętwiała obserwując jak Bogdan podchodzi do łóżka obok, jak całuje Janeczkę w rękę, jak siada przy niej na krzeselku. Jak nachyla się nad nią i głośnym szeptem o coś prosi, czegoś żąda. Kobieta płacze a on zniecierpliwiony wstaje i bez pożegnania opuszcza salę. Justyna kątem oka rozpoznaje grymas złości



na jego twarzy i ten wyraz obcości, który zapamiętała, który miała przed oczami przez wiele lat. Targnęła nią wściekłość. Podeszła do Janki. Chwyciła za rękę.

- On nie jest pani wart - rzuciła przez zęby.

- Wiem, ale nie umiałabym bez niego żyć. Zawsze go będę kochać - Janeczka przygryzła usta.

- Ja też tak kiedyś myślałam, a teraz widzę, że on nie jest wart ani mojej... ani pani miłości.

Janeczka patrzyła na Justynę zaskoczonym wzrokiem,

- Wy się znacie, prawda?

- Znaliśmy, dawno temu...

- Kochałaś go? - Janeczka nagle przeszła na ty.

- Bardzo! Jest ojcem mojej córki.

Kobieta zatrzepotała rękami. Takiej wiadomości się nie spodziewała.

- Ta dziewczyna w ciąży która tu przychodzi to jego córka?

- Tak - Justyna zaniepokoiła się, że nagle ich rodzina tajemnica ujrzała światło dzienne - Tylko proszę jej o niczym nie mówić. Ona tego nie wie.

- Nie powiem - obiecała Janka kładąc dłoń na sercu. W jej oczach pojawiła się jednak jakiś dziwny cień zazdrości i zemsty. Justyna nie rozpoznała go na czas, nie zaniepokoiła ją kreska zaciśniętych ust i zmrużonych oczu. Westchnęła tylko boleśnie wracając na swoje łóżko. Mogła sobie popłakać... Tak po kobiecemu, z głębi ponownie zranionego serca.

Adam zadzwonił, że się spóźni. Że przyjadą z Hanią za godzinę. Niech Justyna się spakuje i czeka. I niech nie próbuje brać taksówki. Może gdyby Adam się nie spóźnił wszystko potoczyłoby się inaczej? A może los właśnie tak chciał, tak się ułożył, by karty zostały odkryte? By prawda ujrzała światło dzienne. Choćby to tak wiele miało kosztować.

Czekała, więc przygotowana przy równo zasłanym łóżku. Pożegnały się z Janeczką wymieniając adresami. Może kiedyś do niej wpadnie na kawę. Może...

Bogdan wpadł nagle, jak wichur i nie patrząc że ona siedzi, że słucha zaczął wymachiwać nad Janeczką rękami wykrzykując obraźliwe słowa.

- Takiś bohater? Nad kaleką się znęcasz? - kobieta wyprostowała się nagle dumna i nieustraszona

Bogdan znieruchomiał. Spodziewał się łez a tu butna mina.

- Że mnie chcesz zostawić to rozumiem - Janeczka dodała odważnie - ale żeby własne dziecko odtrącić to już trzeba być ostatnim łajdakiem.

Mężczyzna spojrzął na Justynę. Zawrzało w nim.

- Coś ty jej naopowiadała!

- Wiesz, że mamy dziecko. A może już nie pamiętasz, zapomniałeś? - Justyna odparła atak.

- Zwariowałaś? Po tylu latach wyciągasz takie sprawy?

- Nie wyciągam - odpowiedziała smutno - Nie chciałam... - spojrziała na Janeczkę. Przecież obiecała.

Kobieta spuściła głowę jakby przepaszając. Ścisnęła brzeg kołdry hamując w sobie chęć do płaczu.

- A od Ciebie nic nie chcę, nic nie potrzebowałam i nie potrzebuję. Myślałam tylko, że się zmieniłeś, że masz serce... ale ty masz kamień zamiast niego, twardy zimny kamień - Justyna cedziła słowa przez zęby patrząc Bogdanowi prosto w oczy.

Adam nie mógł zrozumieć co się dzieje, kiedy wszedł do sali. Żona, gdy go zobaczyła rzuciła mu się z płaczem w ramiona, więc przygarnął ją mocno dając pewne schronienie.

- Gdzie Hania? - Justyna zapytała z przerażeniem w oczach - ona nie może się o niczym dowiedzieć.

- Nie dowie się - obiecał Adam, choć nie wiedział o co chodzi - Czeka na dole.

- Czego mam się nie dowiedzieć? - córka ciężkim krokiem weszła do sali. Przeleciała wzrokiem po znajdujących się tam twarzach

- Bogdan? - zaśmiała się radośnie kierując się w jego stronę. Justyna znieruchomiała. Patrzyła na córkę zdumionym wzrokiem. Tak chroniła ją przed przeszłością, tak bardzo wierzyła, że się nic nigdy nie wyda. A tu córka jakby nigdy nic przyznaje się, że odkryła prawdę, że jest z ojcem w przyjaznych stosunkach.

- Mamo, tato - to jest Bogdan, ojciec mojego dziecka - oznajmiła Hania z dumą w głosie - chcemy się pobrać.

Cisza jak zapadła w sali dzwoniła im w uszach jak kościelne dzwony. Nic i nikt nie był w stanie jej rozbić. Hania rozglądała się niepewnie po obecnych nie rozumiejąc powodu tego niemego przerażenia, który zwił nagle w powietrzu. Adam chyba już pojmował, już docierać do niego zaczęła bolesna prawda, już dostrzegł ją w oczach Justyny, Janeczki i tego obcego mężczyzny, którego twarz zbladła jak pergamin.

- Haneczko - Justyna poczuła konieczność rozładowania napięcia. - Bogdan jest twoim ojcem - zaczęła niepewnie

- Twoim biologicznym ojcem - dodała drżącym głosem - Adam cię adoptował.

Hanna patrzyła na Justynę nie rozumiejąc. Jeszcze nie dotarł do niej sens słów matki, jeszcze wzrok skupiony

na jej ustach nie rozszyfrował znaczenia słów. Ale już niepokój wśliznął się do jej serca. Już coś kazało być czujną i niepewną. Usiadła na brzegu łóżka, obejmując rękami wystający brzuch.

- Dlaczego mi to robicie, dlaczego? - rozkrzyczała się nagle. Już układanka zaczęła się jej składać w całość, już tragiczna prawda dotarła do jej mózgu odsłaniając złożoność sytuacji. Na czole pojawiły się kropelki potu, które cienką strużką spływały po skroniach. Skurcz twarzy był sygnałem, że się coś niedobrego dzieje.

- Chyba rodzę – poinformowała zbolalym głosem - chyba rodzę - zaskowyczała jak zranione zwierzę.

Adam wybiegł na korytarz wracając natychmiast z wózkiem.

- Jesteśmy w szpitalu, zaraz ci pomogą - pocieszał, pomagając jej usiąść.

- Nie tu - krzyknęła histerycznie - chcę do kliniki.

- Odwiozę cię - Bogdan zaoferował pomoc. - Mam busa na parking. Będzie ci wygodnie.

Nie było czasu na dyskusję i na okazywanie niechęci. Rzeczywiście bus miał rozkładane siedzenie i dużo więcej przestrzeni niż maluch. Justyna i Adam ruszyli więc swoim autem za Bogdanem. Ulica była zatłoczona. Trudno było się przedrzeć przez gęszcz samochodów i pieszych. Do tego wciąż te czerwone światła. Adam klął pod nosem hamując raz po raz. Bus Bogdana odbił znacznie, nie było czasu żeby czekać za nimi. Justyna chwyciła za różaniec wiszący przy lusterku, ale żadne słowa modlitwy nie chciały się ułożyć w jakąś sensowną całość. Gdyby mogła teraz wtulić twarz w matczyne fartuch i poddać się jej kojącym dłoniom. Gdyby mogła zawołać „mamo ratuj!” i nie martwić się o nic więcej.

Nagle samochód zahamował. Przed nimi utworzył się korek. Niecierpliwi kierowcy trąbili nerwowo czekając, że coś się tam z przodu ruszy. Sygnał karetki pogotowia wywabił ludzi z aut. Justyna usłyszała jak z ust do ust krąży tragiczna wiadomość – wypadek, bus, zabici... Nie oglądając się na Adama ruszyła między samochodami. Po kilku krokach zrzuciła pantofle. Gdzieś tam upadła na jezdnię zsunięta z szyi apaszka. Ludzie usuwali się jej z drogi widząc przerażenie w oczach i zmierzwiłone włosy. Kiedy dobiegła na początek kolumny jej oczom ukazał się straszny obrazek. Dwa roztrzaskane samochody tarasowały prawie całe skrzyżowanie. Między nimi kilka ciał. Zakrwawionych, nie poruszających się, bezwładnych.

Justyna rozpoznała Hanię. Dopadła do niej, klękła. Jakiś lekarz odsunął ją delikatnie.

- Proszę nie przeszkadzać, ona jeszcze żyje, może uda się pomóc.

Justyna chwyciła go za rękaw, potrząsnęła gwałtownie

- Ona jest w ciąży, ratujcie dziecko - krzyknęła ostatnim mgnieniem jasnego umysłu. Później osunęła się w ciemność.

Poród trwał długo, ale dziecko przyszło na świat zdrowe. Justyna z Adamem nie mogli się nacieszyć śliczną wnuczką. Mała powitała ich płaczem. Jej pomarszczona, czerwona buźka przytulała się do piersi matki szukając ciepła i mleka. Ale Hania nie patrzyła na nią. Zapatrzona w jakiś niewidzialny punkt na suficie nie reagowała ani na płacz niemowlęcia, ani na serdeczne słowa rodziców.

- Tak nieraz bywa - uspokajał lekarz - trzeba być cierpliwym.

Więc byli cierpliwi i przejęli opiekę nad małą. Właściwie to Adam przejął wszystkie obowiązki nad Marynią. Zaległy urlop wykorzystał na urządzenie pokoiku dla wnuczki. Kupował jej mleczka, pieluszki, odżywki. Kąpał, karmił, chodził na spacer. Nie odstępował na krok tuląc i kołyszając jak najlepsza niania.

Hania wegetowała. Jadła, spała, poruszała się jak manekin, jak nic nie czująca szmaciana lalka. I milczała. Trzeci miesiąc mijał od porodu a ona nadal patrzyła niewidzącymi oczami, nadal omijała dziecięcy pokój, nadal odpychała rękoma jakąś niewidzialną przeszkodę, by z dziwnym drzeniem wpadać w ramiona matki. Justyna głaskała ją bezradnie po włosach, twarzy, rękach by uciszyć w niej niemijający ból i cierpienie. Gdyby mogła jej jakoś ulżyć, gdyby mogła zdjąć z niej ten straszny ciężar. Lekarz odwiedzający ich co jakiś czas w domu rozkładał bezradnie ręce zapisując coraz to inne leki. Hania po nich była jeszcze bardziej apatyczna, jeszcze bardziej osowiała. Do tamtego dnia. Do tamtego popołudnia, gdy sąsiadka z czwartego piętra wpadła do nich na chwilę w jakiejś sprawie. Adam akurat ubierał Marynię na spacer. Mała gaworząc radośnie wyciągnęła do niej rączki. Sąsiadka wzruszyła się do łez. Wzięła małą na ręce, przytuliła.

- Edytka, moja Edytka - westchnęła z czułością.

- Jezu - przypomniała sobie Justyna - przecież Edytka już od roku nie żyje. Czyżby sąsiadce pomieszało się głowie?

- Niech się pani nie obawia - sąsiadka zauważyła jej przestraszone spojrzenie. - Tak mi się tęskno za swoją córeczką zrobiło. Wciąż nie mogę pogodzić się z jej odejściem. Wiele bym dała, żeby ją chociaż raz zobaczyć, przytulić, pocałować. To maleństwo takie do niej podobne. Tak bardzo podobne- zwierzała się przyglądając się tkliwie Maryni. Wtedy nagle Hania pojawiła się przed nią. Wyciągnęła ręce odbierając jej dziecko. Usiadła na kanapie układając Marynię na kolanach. Podwinęła bluzkę. Marynia uczepliła się rączkami jej ciała i zaczęła ssać sutek, małej pozbawionej mleka piersi.

Po kilku latach.

Od rana trwał w domu niezwykły rozgardiasz. Marynia wybierała się na swój pierwszy bal.

- Babuniu kochana bo nie zdążę.

- Zdążysz, zdążysz - śmiała się Justyna - Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Strój Maryni był już prawie gotowy. Już się mieniły cekinami motyle skrzydła, już błyszczały złote czółka. Jeszcze tylko aksamitne pantofelki i kwiatowa panienka mogła podbijać serca przedszkolnej dzieciarni.

- Mój ty aniołku - nie po raz pierwszy Justyna zachwycała się urodą wnuczki. Jej jasnymi lokami i błękitnymi oczami.

- Ładna jestem? - Marynia domagała się potwierdzenia przeglądając się w dużym lusterku

- Śliczna, prześliczna - Adam chwycił małą pod rękę i uniósł pod sufit.

Marynia uwielbiała te podniebne podróże, więc zaśmiewała się teraz głośno a jej dźwięczny głosik rozpląwał się po mieszkaniu jak najpiękniejsza muzyka. Trzeba było jednak przerwać ten podniebny lot, bo już Hania czekała w drzwiach gotowa do wyjścia. Adam z Justyną stanęli w oknie, odprowadzając je wzrokiem aż do załomu domu. Dwie kochane istotki. Roześmiane, szczęśliwe, radosne. Tyle jeszcze przed nimi...

- Już czas - Adam spojrzał na zegarek - szykuj się Justyno. Janeczka nie lubi czekać.

Spojrzała na niego, na tego przystojnego mężczyznę z przyprószonymi siwizną włosami i westchnęła głęboko. Tak bardzo znów jej się chciało żyć.

Janeczka rzeczywiście niecierpliwiła się.

- No chodźcie - wołała od progu - już sok przygotowałam i te maślane ciasteczka, które tak lubicie.

Inwalidzki wózek z wesołym stukotem prowadził ich do pokoju. Rozsiedli się więc wygodnie przy stole nakrytym białym obrusem. Zanurzyli usta w słodkim płynie... Cudnie. Janeczka rozgadała się jakby nie widziała ich wieki. Te czwartkowe popołudnia sprawiały im tyle radości. Przywoływali w nich dawne wspomnienia, zabawne historie, wzruszając przeżycia. Kruche ciasteczka rozpląwały się w ustach a nad stołem płynęły coraz to inne opowieści. Wszystko w nich było. I dobre i złe. Tylko o Bogdanie nie wspominali. Jeszcze nie umieli, jeszcze nie byli na to gotowi. Może za jakiś czas wybiorą się wspólnie na cmentarz? Może nawet wezmą ze sobą Marynię?

Teraz niech się jednak dzieje jak się dzieje. Nie trzeba niczego przyspieszać, prostować, zmieniać na siłę. Rany muszą przestać boleć, muszą się zabliznić, muszą obrosnąć nową, grubszą skorupą.

A los? Los niech się układa od nowa... Może ktoś go znów usłyszy...

## Przebaczenie

Weszła do domu cicho zamykając drzwi. Rozłożyła mokry parasol w rogu przedpokoju. Od tygodnia lało nieprzerwanie, chociaż był środek lata. Miała jechać na urlop do Sabiny nad morze. Ale pogoda ją odstraszyła. Tu miała swój nocny klub, przyjaciół, codzienną porcję alkoholu, która dawała ciału i myślom spokojność i radość. Ksawery spał przy niebieskim blasku telewizyjnego monitora. Weszła do łazienki zrzucając po drodze czarne szpilki. Odkręciła kurek nad wanną. Zdjęła pończochy pochłapane błotem i wrzuciła je do kosza z brudną bielizną. Dźwięk telefonu rozerwał nagle ciszę. Boże, ktoś to o tej porze?

- Iśka, jesteś? Dzwonię do Ciebie od kilku dni.

- Stało się coś - zaniepokoiła się nagle - Coś z mamą?

- Nie, nie - Sabina zaprzeczyła zbyt szybko - tylko miałaś przyjechać... nie odzywasz się... nie dzwonisz, niepokoję się o Ciebie...

- Wiesz, ciągle pada...

- No to co, że pada. Później powiesz, że upał, wiatr, albo jeszcze coś innego. Urlop ci się skończy i zobaczę cię pewnie dopiero na święta. Albo i nie! Katarynka się stęskniła...

- Wiem, wiem, ale co ja będę robić w taką pogodę nad morzem, no powiedz sama.

- A my? My się już nie liczymy? Jacek wraca z rejsu dopiero za dwa miesiące. Mogłybyśmy się ugadać za wszystkie czasy. Taka jestem samotna. Bo Katarynka na takie zwierzenia jeszcze za mała, no i... sama wiesz, że nie wszystko potrafi zrozumieć. Tak szczerze mogę pogadać tylko z tobą. Przyjedź proszę... Ksawery śpi?

- Jak suseł

- Jak między wami?

- Cisza

- To już trzeci miesiąc!

- Tak wiem...

- No to sama widzisz, że musisz z kimś pogadać... chyba, że nie chcesz już ze mną?

- Chcę, chcę siostra, ale pogadajmy o tym rano, zasypiam na stojąco. O Boże! Woda mi się leje w łazience... Wybacz Saba, odezwę się jutro...

Wanna była napelniona do połowy. Mogła jeszcze pogadać. Podeszła do barku. Nalała sobie kieliszek wina. Zza ściany doszło ją mamrotanie.

- Kładź się spać pijaczko!



- Wyciągnęła z szafy podróżną torbę. Układane równiutko ubrania wchłaniały coraz gęściej padające na nie łzy. Kurcze, nie ma nic dla Katarynki. Może na Dworcu znajdzie coś odpowiedniego dla dziewczynki. Ona umiała się cieszyć wszystkim, najdrobniejszym upominkiem. Pucułowała twarz siostrzenicy wypełniła jej serce radością i spokojem. Teraz się wykąpie, zostawi kartkę Ksaweremu na stole w kuchni i pójdzie do pociągu. Jeśli będzie miała szczęście to prześpi się w pustym przedziale. Za kilka godzin wypłacze się na ramieniu siostry. Nagle zaczęła za nią tęsknić tak bardzo jak jeszcze nigdy w życiu...

- Ciociu, ciociu, chodź popływać - Katarynka chwyciła ją za rękę. Miała siłę dorosłego mężczyzny. Dała się, więc zaciągnąć do wody. Katarynka nie bała się fal. Z piskiem rzuciła się na nie rozpryskując dodatkowe hektolitry wody.  
- Mój ty wielorybie mały, nikt ci w wodzie nie dorówna..

Skośne oczy dziewczynki zmieniły się w dwie wąskie kreseczki. Takiej radości jak u siostrzenicy jeszcze nigdy u nikogo nie widziała. Któryś raz z kolei pocałowała jej rozplaszczony nos...

- Ach ciocia jak dobrze, że przyjechałaś...i że przywiozłaś ze sobą pogodę...- Klara mówiła trochę niewyraźnie ale bliscy świetnie ją rozumieli.

To prawda, po deszczowym i zimnym tygodniu nie było już śladu. Bezchmurne niebo pozwoliło w końcu słońcu rozlać się kaskadą światła i ciepła. Ludzie chowali się pod parasole, parawany, kapelusze. Sabina też. Ale one z Katarynką czuły się jak w raj, zaznaczone pierwszą opalenizną, z pszenicznymi włosami targanymi przez wiatr, szalały po plaży jak rozbawione szczeniaki.

- Iska ja ty to robisz, że Klara tak za tobą przepada. Z nikim nie ma takiego dobrego kontaktu. Poza mną oczywiście i Jackiem...

- Talent, siostrzyczko, talent pedagogiczny się ma...

Katarynka po wyjściu z wody zajęła się budową zamku z piasku. Z trudnością wsypywała piasek do wiaderka pomagając sobie wysuniętym na brodę językiem. Była nadzieja, że na parę chwil zajmie się sama sobą. Mogły znów ze sobą pogadać.

- Wiesz, bardzo ci współczuję, że nie macie dzieci, to by was może jakoś scalało.

Zamknęła oczy. Pod plecami czuła szorstkość koca. Słońce pieściło każdy fragment jej ciała. Wczoraj wylała cały zapas łez, dziś była spokojna. Zabawy z Klarą usunęły z niej nadmiar emocji.

- Pewnie tak, ale wiesz, ja już nie mam siły o to zabiegać. Zresztą lekarze postawili ostateczną diagnozę.

- A adopcja? Adopcja nie wchodzi w grę?

- Saba, coś ty, cudzego dzieciaka pokochać? I nie daj Boże chorego? - nagle ugryzła się w język - zresztą z Ksawerym odeszliśmy już od siebie tak daleko....

- A Klara? Przecież kochasz Klarę? - siostra nie zraziła się jej nietaktem.

- No wiesz? Klara to zupełnie, co innego. Zresztą, jak można nie kochać Klary?

- No tak, ja sobie też tego nie wyobrażam, ale na przykład ta facetka obok, widzisz, ona wcale nie patrzy na nią z uwielbieniem. Razi ją jej głośny śmiech i krzyki.

- Dobrze, dobrze, nie wmawiaj sobie bzdur. Klara jest najwspanialszym dzieciakiem pod słońcem

- Wiem, wiem... Powiedz mi, ale tak szczerze... wierzysz w Boga?

- A co ci tak nagle przyszło do głowy?

- No, ale powiedz, jesteś z Nim blisko?

Wierzyła w Boga, ale być z Nim blisko? Kim był dla niej Bóg? Kiedyś, jeszcze w dzieciństwie strasznym Czarownikiem, który śledził każdy jej krok i karał za wszystkie złe uczynki a nawet myśli. Obsesyjnie się go bała. Matka mówiła, że pan Bóg widzi ją wszędzie, że nie można skryć się przed jego wzrokiem nawet w mysiej dziurze. Że zagląda do każdej głowy i wychwytuje całe zło siedzące w człowieku. Więc ona miała ciągle poczucie winy. Oglądała się za siebie czy ten wszechwładny, wszechmocny Sadysta nie ześle na nią jakiejś kary. Może, dlatego prowokowała go ciągle, żeby sprawdzić jego siłę, jego moc? Była pyskata, krnąbrna i nieposłuszna. Wszczynała bójkę, kłótnie. Kradła pieniądze, paliła papierosy, piła wino z chłopakami na łące za domem. I czekała na karę. I zazwyczaj Boża zemsta nadchodziła. Matka zamykała ją w ciemnej piwnicy a ona zatykała sobie piętami uszy i krzyczała wniebogłosy drapiąc paznokciami drewniane drzwi zdzierając sobie przez to palce do krwi. Panicznie bała się myszy. Stawała, więc na jednej nodze jakby to miało zmniejszyć prawdopodobieństwo otarcia się o ich pazurki i szczeniastą sierść. Ale Pan Bóg dodawał jej lęków i mnożył mysie fatamorgany nawet wtedy, gdy opuszczała ciemne więzienie. Do dziś jej chód przypominał dziwne podskoki, jakby stopy chciały mieć jak najmniej kontakt z ziemią. Brr, poczuła nagle jak o jej nogi ociera się oślizłe ciało. Usiadła raptownie otwierając oczy...

- Iska, co ci? - Saba patrzyła ze zdziwieniem - To tylko Katarynka przesypuje piasek...

Cieniutka stróżka potu pomiędzy jej łopatkami spływała powoli. Rzeczywiście, to Klara wysypywała piasek z trzymanego nad głową wiaderka. Wiatr unosił niektóre ziarenka jak niechciane plewy tworząc żółtą aureolę wokół dziewczęcej głowy. Dotyk piasku na jej stopach był delikatny, pieszczący.

- Wiesz, mamy tu w kościele mądrego spowiednika, może warto by było do Twojego życia wpuścić trochę Bożego światła...

- Przestań Saba, nie podpuszczaj mnie dobrze? Pan Bóg, jeśli jest, ma ważniejsze sprawy na głowie. Na mnie położył lachę. Kiedyś myślałam, że Ty jesteś jego ulubienicą, że mnie oddał diabłu a ciebie powierzył Aniołom. Ale kiedy się urodziła Klara... Chociaż nie, kiedy obcuje z jej miłością to nie wierzę, żeby to miała być kara... Nie, ty nadal jesteś tą lepszą połową nas, mnie szczęście jakoś omija...

- Iska, nie pleć głupstw, daj po prostu Bogu szansę, nie nalegam, ale sama widzisz, że twoje życie stanęło nad rozdrożu. W końcu spróbować możesz... Bóg...

- Nie mogę, nie chcę... daj spokój!!! Sama wiesz ile złego mnie spotkało. Nie wybaczę Mu tego, matce zresztą też... Położyła się na brzuchu odgradzając się od siostry plecami. Wtuliła głowę w ramiona. Cholera, ta Saba zawsze rozjątrzy jej rany. Czemu one nie chcą się zbliżyć, czemu wciąż tak boją?

- Ciociu, ciociu, chodź do wody - Katarynka przymilnie głąskała ja po plecach. Nie rozumiała rozmowy dorosłych, ale wyczuwała świetnie ludzkie nastroje.

- Już nie będę sypać, już nie będę sypać, ciociu nie gniewaj się, Katarynka już będzie grzeczna...

- No coś ty Katarynocho słodka, jakże ja miałabym się na ciebie gniewać! Złapała siostrzenicę za klejącą się od piasku rękę i pobiegła prosto w nadchodzącą buro-złotą falę.

Wracały z plaży. Minęło już kilka dni wspólnego odpoczynku. Zdążyły sobie opowiedzieć już prawie wszystko. Klara szalała z radości. Teraz też szła lekko kołyszącym się krokiem i lizła lody. Jej jasna sukienka znaczone brązowymi plamkami rozpuszczanej czekoladowej mazi zadzierała się wysoko odsłaniając pulchne nogi. Sabina nie zwracała uwagi na wścibskie spojrzenia przechodniów. Nie biegła też jak inne matki z chusteczką, aby wytrzeć umorusaną twarz córki. Weszły do wesołego miasteczka. Katarynka uwielbiała salon krzywych luster. Zaśmiewała się z karykaturalnych odbić jakby ciesząc się, że istnieją także inne wymiary brzydoty. Ale teraz zobaczyła karuzelę z końmi. Białe, brązowe i żółte grzywy tańczyły na wietrze a pyski rozszerzone w uśmiechu ukazywały duże zęby. Klara chwyciła okalający karuzelę łańcuch. Już teraz nie da się oderwać, już teraz trzeba będzie się z nią pokręcić i to może nie jeden raz. Sabina pomogła Klarze zająć miejsce na grzbiecie konia, stanęła przy niej trzymając ją w pasie. Klara była nieobliczalna, nie wiadomo, co mogło przyjść jej do głowy...

Iska usiadła na ławce nieopodal. Nie znosiła karuzeli. Nie mogła nawet patrzeć na tych, którzy się na niej kręcą. Pomachała Katarynce ręką i przymknęła oczy. Ogarnęła ją senność. Może by się zdrzemnęła nawet gdyby z gwaru ludzkich głosów nie dopadł ją nagły krzyk.

- Ty kulasie jeden, wara ci od mojego psa..

Po przeciwnej stronie trawnika szła kobieta w słomkowym kapeluszu. Przy jej nodze prowadzony na smyczy truchtał mały pudel. Obok biegł kilkunastoletni wyrostek. Piegowata twarz poczerwieniała od wstydu i upokorzenia. Rzeczywiście kulał znacznie i jakoś tak powłóczył krótsza nogą...

- No, mówię ci zmykaj stąd mały. Bo ci przetrączę drugą nogę...

Chłopak schylił się nie spuszczając z niej wzroku. Pomacał ręką wokół stóp. Natrafił na kamień. Zamknął go w pięści i wycelował w kapelusz. Nagle zmienił zamiar i kamień poszybował prosto w biały piszczący kłębuszek. Kobieta zawyla z bólu, jakby kamień uderzył ją w samo serce.

- Ty chuliganie, ty kaleko zawszona, ty uliczniku, darmożjadzie, popaprańcu jeden...

Chłopak uciekał chichocząc złośliwie gnany potokiem niecenzuralnych słów...

- Kulasie, kaleko, kracaju...

Przymknęła oczy odgradzając się od terażniejszości i hałasu. Tak dobrze pamięta tamten dzień i tamtego kulawego chłopca. Miał na imię Kazek, ale wszyscy wołali na niego Kulas. Był od niej ze dwa lata młodszy. Mieszkał w ostatniej chałupie, tuż przy lesie. Dziwny był, taki samotnik. Łaził po polach, łąkach, lesie. Gadał do siebie. Wgapił się w mrowiska i gniazda ptaków. Ona i Ruda czasem go śledziły. Naśladowały jego chód i zaśmiewały się z niego. Kiedy je widział z daleka zaczynał uciekać. A one goniły go i wyzywały od kulasów, kalek, pokrak... Ale wtedy, tamtego dnia zawadził chorą nogą o wystający konar i przewrócił się. Dogoniły go, więc i stanęły nad nim jak kat nad skazańcem. Skulił się, schował głowę w ramiona, podkurczył nogi.

- No i co my teraz z tobą zrobimy - zapytała groźnie Ruda

- Hmm. Nie wiem - spróbowała naśladować jej ton.

- Może weźmiemy cię do niewoli.

- Tak, do niewoli - powtórzyła grubym głosem - Wstawaj!

Chłopak się nie ruszył Drzał tylko cały i pociągał nosem. To ją wyprowadziło z równowagi. Urwała gałąź, oberwała liście.

- Wstawaj - krzyknęła. Świst witki zatrzymał się na chudych plecach. - No wstawaj - wrzasnęła wściekle.

- No coś ty, Iska, zwariowałaś? - Ruda próbował powstrzymać jej rozszalałą rękę .

- Zostaw, puść - szarpnęła się gwałtownie - on musi nas posłuchać.

- Ja tak nie chcę - Ruda zaczęła się wycofywać - tak nie można.
  - Zostań - jej hipnotyzujące spojrzenie zatrzymało ją na miejscu.
  - Wstawaj, rusz się ty mały, nędzny kulasiu, ruszaj się, bo cię zatłukę...
- Chłopak podźwignął się w końcu. Stał zgarbiony, mały, bezbronny.

- Do drzewa, no już do drzewa!

Ruda zaczęła gryźć paznokcie. Ale nie ruszyła się z miejsca. Chłopiec oparł się plecami o pień brzozy. Twarz miał białą jak kora.

- Rozbieraj się – wrzasnęła – ściągnij gacie!

Gałązka znów zaczęła zataczać koła nad jego ciałem. W bolesnych razach dotykała jego twarzy, ramion, brzucha. Skulił się jeszcze bardziej, ale zaczął ściągać z siebie ubrania.

- No a teraz łapy do tyłu. - wyciągniętą z tenisówki sznurówką związała mu ręce.

- Ależ ty piekniuchny jesteś kulasku mały - cmoknęła ustami. Dotykała kijkiem kolejnych części jego ciała. Zalała się rumieńcem niezdrowej emocji. Ruda zamknęła oczy.

Nagle chłopak wyprostował się, wyprężył, uniósł oczy do góry i zaczął krzyczeć, drzeć się po prostu. Walił głową w pień drzewa i tupał nogami. Przestraszyła się.

- Zamknij ryja- zasyczała rozplątując mu ręce – spływaj...

Ale to nie on, lecz one musiały uciekać. Chłopak nie zwracając uwagi na swoją nagość podnosił z ziemi wszystko, co popadło i biegnąc rzucał w nie zaciekle. Potykała się, tenisówka pozbawiona sznurowadła spadła jej z nogi i została na drodze. Rozdzieliły się z Rudą. Teraz gonił już tylko ją. Nie miał szans, to był najszybszy sprint w jej życiu. Ale przyjaźń z Rudą upadła. Przez tego cholernego Kazka. Po kilku dniach spotkała na drodze jego matkę. Stara spojrzała nią z nienawiścią.

- Jeśli jeszcze raz dokuczysz mojemu synowi, jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę cię koło mojego domu zabiję jak psa – powiedziała.

- Ciociu, ciociu śpisz?

Katarynka szarpnęła ją za rękę. Powróciła z tamtego znieawidzonego dzieciństwa w jasny zalany słońcem dzień i w niewinne oczy dziecka.

Czas urlopu pozwalał na dłuższe leniuchowanie. Spała więc dłużej niż w domu. Sabina z małą wcześniej rozpoczynały codzienna krzątanie. Szły do sklepu po świeże pieczywo, robiły śniadanie. Później Katarynka wpadała do jej pokoju, wskakiwała na kanapę i zasypywała ją całusami. Jej uściski potrafiły być naprawdę bolesne.

Kiedy brała poranny prysznic Klara otwierała okna, ścieliła jej pościel, układała rzeczy. To potem ona jej dziękowała marionetkowym ukłonem. No i koniecznie musiała uklęknąć do modlitwy. Boże jak ona dawno się nie modliła! Teraz powtarzała za Katarynką „Aniele Boże Strózu mój” Taki się codzienny rytuał z tego zrobił. Ale dziś było trochę inaczej Sabina z Klarą szły na szczepienie do przychodni.

- Pośpij sobie jeszcze, wrócimy za godzinę, najdłużej za dwie - Sabina zrobiła sobie dziś wyraźniejszy makijaż i włosy upięła do góry. Była tak do niej podobna.

- Ciocia, co ci kupić? Lalkę? - To też był rytuał. Katarynka wybierała dla niej takie prezenty, żeby się podobały przede wszystkim jej, Klarze. Bo kiedy ciocia odjeżdżała pakując swoje rzeczy marudziła:

- Ojej, już mi się nic nie mieści. Katarynko zostawię u ciebie tego misia (małpkę, tygrysa, kaczuszkę) i zabiorę następnym razem. I takim sposobem zabawki zostawały w pokoju Klary na półce. Na zawsze. Dziś takim prezentem miała być lalka.

- Tak, koniecznie kup mi lalkę, wiesz taką w różowej sukience

- Nie ma sprawy - Klara lubiła popisywać się słownictwem usłyszanym od dorosłych.

Kiedy ucichły głosy i kroki na schodach przytuliła głowę do poduszki. Ale nie mogła zasnąć. Przypomniał jej się sen. Znów ten sam dopadający ją, co jakiś czas. Śniło się jej, że idzie wzdłuż sali szpitalnej pełnej ciężarnych kobiet. Nie widzi ich twarzy tylko ich wystające brzuchy okryte białymi koszulami. Na końcu sali leży kobieta z zawiniątkiem na kolanach. Słyszą niemowlęcy płacz i czuć słodki zapach...

Och, gdyby nie matka miałby też takie dzieciątko. Ale ona kazała je jej zabić. Nie wybaczy matce tego nigdy. Może teraz ją rozumie, że wstyd, że rozpacz przesłoniły jej oczy. Że bała się ludzkiego gadania, śmiechu, zawiści. Że nie wyobrażała sobie życia pod jednym dachem z panną z dzieckiem. Chociażby to była jej córka. Może gdyby знаła imię ojca dziecka. Gdyby można było pomyśleć o ślubie. Ale ona zaparła się i nikt nie umiał wydobyć z niej tej tajemnicy. Nawet Saba. Rozumiała, więc matkę, ale wybaczyć jej nie mogła. Wtedy w ciągu dwóch miesięcy umarła dwukrotnie.

Pierwszy raz, kiedy wracając z zabawy natknęła się na Kulasa. Od tamtej pory, od tej nieszczęsnej „zabawy” w lesie stał się jej cieniem. Teraz on ją śledził, podglądał, pojawiał się wszędzie tam gdzie ona. Obserwował i uśmiechał



się drwiąco. Wyrósł, zmeźniał. Dziewczyny śmiały się, że się w niej chyba zakochał. Nie zwracała na niego uwagi, ale drażniło ją to jego ciągle włożenie jej w drogę. Otaczała się chłopakami, była wulgarna i wyzywająca. A jednak to Saba a nie ona pozbawiła się pierwsza dziewictwa. Ona chciała przechrzcić Diabła i zostawić ten pierwszy raz dla kogoś naprawdę wyjątkowego. Ale Kulas był szybszy, bardziej sprytny niż diabeł. Jak to się stało, że wracała wtedy sama? Chyba pokłóciła się z Andrzejem. Coś gadał o ślubie, o wspólnym gospodarowaniu. Wyśmiała go wtedy i obrażony zostawił ją w połowie drogi. Kulas wyszedł z cienia lasu tak nagle, że krzyknęła przestraszona.

- Boisz się? - stanął przed nią na rozstawionych nogach. Doleciał do niej zapach alkoholu.

- Nie - odpowiedziała hardo - Pikus jesteś dla mnie.

- Pikus? - roześmiał się z jej dowcipu - Pikus powiadasz – chwycił jej ręce w swoje.

- Puść - zasyczała

- Nie puszczę. Chyba, że dasz buziaka.

- Zwariowałeś? Z takimi kulasami się nie zadaję - patrzyła na niego wściekłym wzrokiem.

- Nie? Kilka lat temu inaczej ze mną gadałaś. Podobałem ci się. Podniecały cię takie dzieciaki jak ja, co?

- Daj spokój - przestraszyła się wyrazu jego oczu.

- Teraz mi już nie uciekniesz. Zbyt długo na ciebie polowałem.

- Daj spokój Kazek - próbowała zmienić tor rozmowy - przecież tamto to taka szczeniacka zabawa była.

- Dla ciebie szczeniacka. Dla mnie nie. No a jeśli już, to brak jej zakończenia.

- Zapomnij, przepraszam cię za tamto, głupia byłam - próbowała go jakoś udobruchać.

- Musze wyrównać rachunki, widziałaś mnie nago a ja ciebie nie.

- Kazek to było tak dawno - już zaczynała się bać.

- Może i dawno, ale dla mnie czas się wtedy zatrzymał. Rozbieraj się!

- Żartujesz?

- Nie żartuję. Musi być jakaś sprawiedliwość no nie?

Pociągnął ją do najbliższego drzewa. Opierała się, ale był silny, pijany i zdeterminowany. Miała nadzieję, że spokój ją uratuje.

- Kazek, spotkajmy się jutro, porozmawiamy, wszystko ci wyjaśnię, wytłumaczę.

- Daj łapy - z kieszeni spodni wyciągnął bieliźniany sznurek.

Podniosła rękę. To był silny policzek.

- Przegięłaś - powiedział rozwścieczony- Przegięłaś...

Był silny, sprawny, zwinny. Próbowała się wyrwać, uciec, zakrzyczeć to, co chciał zrobić. Nie miała szansy. Związał jej ręce, nogi. Wolno z premedytacją zrywał z niej kolejne części ubrania. Dotykał wszędzie swoimi diabelskimi rękami. Płakała. Wyła. Wzywała Boga. Na próżno...

Drugi raz umierała dwa miesiące później. Leżała na zimnej lecarskiej kozetce i czekała aż obce ręce wyciągną z niej to, co się w niej już zagnieździło. Miała znów przywiązane ręce i nogi. Matka została w poczekalni. Była, więc sama ze swoimi myślami i swoim bólem. Operacyjna lampa milionami świetlnych błysków raniła jej oczy. Bezwzględne ręce dotykały jej ciała. Miała wrażenie, że leży w przezroczystej trumnie, że to, co za chwilę się jej przydarzy będzie taką samą śmiercią jak dla tego maleństwa, które żyło w niej. Wyrzekła się go, wyrzekła się siebie.

- To są moje ręce - myślała - to są moje nogi, to jest moja głowa, to jest mój brzuch, tam jest moje dziecko...

- Zaraz będzie po wszystkim - usłyszała słowa lekarki zbliżającej się do niej .

- Zaraz będzie po wszystkim - powtarzała sobie w myślach wpatrując się w biały prostokąt sufitu. - Zaraz będzie po wszystkim dzidziusiu mój, moja słodka mała kruszynko, mój aniołeczku, najpiękniejszy, najukochańszy gościu, któremu przed nosem zamknięto drzwi. Zaraz będzie po wszystkim...

Nie zareagowała na hałas otwieranych drzwi. Katarynka z hukiem wpadła do pokoju. Sabina zawołała

- Skarbie, zrób siusiu i umyj ręce.

Poczuła jak siostra siada na brzegu kanapy, odsłania koc i kładzie się przy niej. Jej delikatne ręce zgarniają łzy z jej policzków uciszając cierpienie.

- Już dobrze, jestem przy tobie... jestem...

Sabina krzątała się od samego rana. Po całym domu roznosił się zapach pieczonego ciasta. Stała w drzwiach kuchni jeszcze w podomce. Wszędzie dookoła stały porzostawiane miseczki, talerzyki, kubeczki. Katarynka obliżywała oblepioną ciastem drewnianą pałkę.

- Co tu się dzieje? Czyżbym zapomniała o jakimś święcie? - zapytała.

- Nie, nie - Saba zaprzeczyła szybko - Tak jakoś zachciało mi się czegoś słodkiego. Wiesz, jutro niedziela, niedługo wyjeżdżasz, to takie małe pożegnanie będzie...

- To już mnie nie chcesz? Już wypędzasz?

- No coś ty? - Sabina zawołała oburzona, - Że też ci takie myśli przychodzą do głowy.

- Żartowałam - zadrżała Sabinie przymilnie w oczy. - To może pomogę przy czymś?  
- Oj nie! - Sabina знаła jej niechęć do pieczenia - Lepiej poczytaj sobie, albo odkurz pokój. Jak skończymy to cię zawołamy. Same sobie poradzimy no nie Katarynka?  
- Jasne - usta Klary rozciągnęły się dotykając prawie uszu. - Gdzie kucharek sześć tam nie ma co jeść - zacytowała fragment z ostatniej szkolnej inscenizacji.  
- Dobrze, dobrze zmykam - zaśmiała się puszczając siostrzenicy perskie oko. Odwróciła się na pięcie wykonując niezdarne piruety. Uniesiona podmuchem podomki pozostawiona na stole mąka pofrunęła pod sufit.  
- Już cię nie ma - Saba delikatnym popchnięciem usunęła ją za drzwi.  
- Cha, cha, cha - nie mogła powstrzymać się przed wybuchem głośnej wesołości. Za chwilę rozśpiewała się pod prysznicem. Ach jak pięknie zaczął się dzisiejszy dzień.

-Mamo, ciociu, babcia, babcia przyjechała - Katarynka stojąc przy oknie wykonywała indiańskie podskoki. To niemożliwe. Klara musiała się pomylić. Spojrzała w kierunku siostry zmywającej naczynia. Nie zareagowała na wołanie córki. Nie odwróciła głowy. Z dziwnym skupieniem układała talerze na suszarce. Opadające na twarz włosy nie pozwalały dostrzec wyrazu jej oczu.

- Sabina? Nie powinnaś mi tego robić. Psujesz mi wakacje! - zdenerwowała się. Podeszła do siostry.

- Saba! Czy ty mnie słyszysz? Czemu ją zaprosiłaś?

- Iska, zrozum, ty musisz jej wybaczyć, ty musisz inaczej żyć. Proszę zrób to dla niej. I dla siebie. Przede wszystkim dla siebie.

- Zwariowałaś? Czy ty wiesz, o co prosisz? Przecież wiesz, co ja przeżyłam, co jeszcze wciąż przeżywam? Tego nie da się zapomnieć, tego nie sposób wybaczyć.

- Iska, jej zostało tylko kilka miesięcy życia.

- Co ty opowiadasz! Skąd wiesz? - wstrząsnęła nią ta nagła wiadomość.

- Ta jej lekarka dzwoniła do mnie... Nie mówiła, wprost, ale nie dawała żadnej nadziei... Rozumiesz? Żadnej... Ona o tym nie wie, czuje się świetnie, więc nie podejrzewa, że choroba tak szybko postępuje...

- Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

- Iska, nie mów tak, to przecież nasza matka.

- Twoja może tak, ale nie moja, ja się jej już dawno wyrzekłam.

- Iska, błagam cię, pozwól jej umrzeć w spokoju.

- Mam pozwolić jej umrzeć w spokoju? Za to, co mi zrobiła? Nigdy...!

Matka stała w drzwiach. Musiała usłyszeć ostateczne słowa. A może nawet wszystkie, bo była blada jak papier. Usta jej drżały a ręce szukały oparcia. Katarynka nie mogła zrozumieć, dlaczego babcia odsuwa ją od siebie, dlaczego się nie cieszy, nie śmieje, choć zawsze witała wnuczkę z okrzykami szczęścia i radości. Sabina podbiegła do matki. Podprowadziła do fotela. Pomogła usiąść.

- Mamo, tylko się nie denerwuj, dam ci krople...

- Nie, nie trzeba - matka odsunęła ją delikatnie - chcę porozmawiać z Iską.

- Ale ja nie chcę z tobą rozmawiać... Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Ale ja mam. Rozmawiałam z Ksawerym. Opowiedziałam mu o wszystkim. O tobie, o dziecku, o moim grzechu... Łzami wyprosiłam przebaczenie. Teraz przyjechałam prosić ciebie. Wiem, że niedługo umrę i On Bóg mnie ze wszystkiego rozliczy... Masz prawo mnie odepchnąć. Masz prawo się odwrócić. Ale możesz mi ulżyć. Nie proszę żebyś mi zapomniiała, proszę byś mi wybaczyła.

Twą twarz matki skurczyła się. Zmarszczki usadowiły się na pięknym kiedyś czole, na kształtnych policzkach, pod oczami, w kącikach ust. Stara, chora kobieta. Zagubiona i nieszczęśliwa. Czekająca na śmierć. Zupełnie bezbronna. Iska otworzyła usta. A jednak powie jej wszystko, co leży jej na sercu. Wygarnie jej w oczy cały swój ból i swoje zranienie.

- Mamo - zdziwiła się, że takie zupełnie nie zaplanowane słowo przeszło jej przez gardło - Mamo...

Spotkało ją jej rozpaczliwie smutne spojrzenie. Dotknęła jej siwych, miękkich włosów, jej zgarbionych pleców. Matka chwyciła jej rękę i na dłoni odcisnęła swój pocałunek.

- Dobrze mamo, porozmawiamy...

Sabina wzięła Klarę za rękę

- Chodź córeńko, pójdziemy na spacer

- A babcia? I ciocia?

- One mają sobie wiele do powiedzenia. A my pójdziemy do kina. A później na lody. Chcesz? To była propozycja nie do odrzucenia.

- Klara, zaczekaj - Sabina nie nadążała za córką - Wezmę tylko torebkę. Na ulicy wszystko toczyło się swoim starym, normalnym rytmem. Ludzie spieszyli się nie wiadomo, dokąd, samochody pisały na zakrętach, jakaś kobieta szła na spacer z psem. Sabina uniosła głowę. Tam na pierwszym piętrze starej kamienicy rozstrzygały się

sprawy wieczności. A tu słońce oślepiło wzrok jaskrawym światłem. Nałożyła przeciwsłoneczne okulary, chwyciła Klarę za rękę.

- Raz i dwa, raz i dwa, idą drogą szczęścia dwa- zainonowała ich ulubiona piosenkę

- Raz i dwa, raz i dwa idą drogą szczęścia dwa - podchwyciła natychmiast uradowana córka.

Matka odjechała rano. Uściskała je wszystkie jakby nie miała ich więcej zobaczyć. A przecież obiecały, że odwiedzą ją w przyszłym miesiącu. Że będą dzwonić codziennie. Sabina chciała, aby matka została u niej dłużej, do końca nawet, ale ona postanowiła, że woli wiejskie powietrze i ławeczkę przed domem. Wygadały się przez ostatnie dwa dni jak nigdy wcześniej. Trzeba było teraz to wszystko w sobie poukładać, jeszcze raz w myślach powtórzyć, na nowo przebaczyć.

A przed chwilą zatelefonował Ksawery. Iśka nie chciała z nim rozmawiać, bała się tej rozmowy. Może nawet bardziej niż spotkania z matką. Kiwała przecząco głową, gdy Saba wciskała jej do rąk aparat. W końcu ustąpiła - Czekam na ciebie - głos w słuchawce był ciepły i czuły. Przebiegł po jej ciele elektryczną iskrą. Zatęskniła za bliskością, dotykiem, pocałunkami tego, który przez ostatnie lata coraz mniej dla niej znaczył. Obwiniła go za wszystko zło, którego w życiu doznała. Za matkę, która nie dała jej miłości, za Kazka, który miłość zamienił w cierpienie. Ksawery. Dobry, spokojny, pogodny mężczyzna, który kochał za mocno, żeby odejść. I wiedział za mało, żeby zrozumieć. Odtrąciła jego miłość, uciekła w pracę, alkohol, zabawę. Tu u Sabiny nie wypita ani kieliszka. Ale tam przy nim musiała szukać jakiegoś pocieszenia. Teraz on, ten jej Ksawery mówi jej prosto do serca „Czekam na ciebie”. Czują jak łzy wzbierają się pod powiekami. Za chwilę ruszą lawiną po zakrzepniętych bólem policzkach. Ksawery czekał na nią i to zrobiło się nagle najważniejsze. Musi jak najszybciej go zobaczyć, jeszcze dziś, zaraz.... Zaczęła się pakować.

- Ciocia, ciocia a lalka? – Katarynka próbowała upchnąć kukielkę w różowej sukience do podróźnej torby.

- Och, Katarynko, zobacz jak mam ciasno, chyba jej nie zmieszczę. Może zabiorę ją następnym razem?

- A to? - Klara trzymała w dłoni papierowe serduszko.

- Zobacz, sama je podpisała, widzisz jak pięknie już pisze? - chwaliła córkę Sabina.

- Widzę, widzę - krzywe, niezdarne litery układały się w przepiękne wyznaczenie miłości - „Kocham Ciocię Isię”

- Taką laurkę będę nosić w torebce. Zawsze. Och, Katarynka, żebyś wiedziała jak ja cię kocham! Jaki z ciebie skarb. Przytuliła siostrzenicę do piersi, znów nie zapanowała nad łzami.

- Dobrze, już dobrze, pospieszmy się, bo pociąg ci ucieknie.

- A niech tam - odpowiedziała - najważniejsze, że mam was. I Ksawerego.

- A babcię?

- I babcię też.

Jesień była piękna tego roku. Klony na cmentarzu mieniły się purpurą, czerwienią, brązami wszelakimi, pomarańczem i żółcią. Na chodniku utworzył się kolorowy dywan. Po porannej mgie można było się na nim pośliznąć. Nawet widać było mgiełkę drobniutkich kropelek przytulonych do drzew, krzewów, liści. Także tych na chodniku. Ksawery proponował, że z nią pójdzie, że przytrzyma ją w razie potrzeby. Ale ona postanowiła powiedzieć o tym matce sama. Bez świadków. Bez Ksawerego, chociaż stał się on na nowo najważniejszym człowiekiem na świecie.

Ostrożnie stawiała kroki. Brzucha jeszcze nie było specjalnie widać, ale ona opasała go dłońmi wierząc, że to ochroni go przed każdym złem. Marmurowa płyta też pokryta była liśćmi. Zgarnęła je dłońmi, nie wzięła z sobą żadnych narzędzi, ściereczki, grabek. Zresztą nie przyszła tu sprzątać tylko porozmawiać, pochwalić się. Przetarła ręką mokry napis. To już dwa lata jak matka odeszła. Dwa lata smutku, którego się wcale nie spodziewała. Usiadła na drewnianej ławeczce, zapatrzyła się w owalne zdjęcie umieszczone z boku pomnika.

Matka uśmiechała się. Czyżby już wiedziała? A może to ona wymodliła im ten cud poczęcia? W końcu stało się to bez ingerencji lekarzy, nowoczesnych metod, sposobów. Tak zwyczajnie, normalnie jak przez wieki działo się w ciałach kobiet.

Cofnęła się myślami do tamtego dnia, kiedy już pewna była, że nosi w sobie nowe życie, kiedy poczuła pierwszy ruch i kiedy serce stanęło jej na moment z wrażenia. Wróciła wtedy do domu jak na skrzydłach a Ksawery, kiedy ją zobaczył taką uradowaną i rozanieloną ukląkł przed nią jak przed świętą. Całował jej ręce, piersi, głąskał brzuch. Zaraz też jej przyniósł wygodne kapcie i zaparzył herbatę. Najlepiej umiał okazywać miłość drobnymi uczynkami...

Oparła głowę na dłoniach. Zastłuchała się w sobie i w ciszę. Kilka grobów dalej jakąś staruszka odmawiała różaniec. Pod stopami migotał jasnym światłem szklany znicz. Po drugiej stronie młoda kobieta wkładała w gliniany dzbanek bukiet astrów. Kurczę, a ona nie miała nic...Tylko to dziecko poruszające się w brzuchu i to całkowite przebaczenie. Matka uśmiechała się nadal. Chyba to jej wystarczyło.



Wracała lekko stawiając nogi. Liście wirowały i miękko ścieliły się pod stopy. Cementarny mur przylegał do kościoła. Otwarte drzwi zapraszały do wejścia. Kilka staruszek w ciemnych chustkach klęczało rozsianych po ławkach jak polne gawrony. Przez kolorowe witraże wpadały tęcze blaski. Doleciał ją duszny zapach starych murów. Święci na obrazach spoglądali na nią ciekawie. Z konfesjonału w bocznej nawie wyszedł jakiś penitent. Kiedy ona ostatni raz była u spowiedzi? Chyba na swoim ślubie. Ale czy to była prawdziwa spowiedź, gdy się najważniejszy grzech ominęło? Gdy się obarczyło nim kogoś innego? Ksiądz wychylił się sprawdzając, czy nie ma więcej chętnych. Pewnie zaraz sobie pójdzie. Z daleka trudno było określić jego wygląd i wiek. Niech tam, to nie miało teraz dla niej żadnego znaczenia. Skierowała swoje kroki ku drewnianym kratkom. Uklękła czyniąc na czole, ramionach, piersiach znak Krzyża...Była dziwnie spokojna i gotowa na dotknięcie Boga...

Po spowiedzi kościół wypełnił się jasnym światłem i złocistymi smugami kurzu. Z chóru spłynęła organowa muzyka wprawiając w drżenie wielowiekowe mury, sklepienia, wykusze. Przeniknęła każdy nerw jej ciała. Z zachrystii wyszedł ksiądz i spojrzał w jej stronę. Mogła mu się teraz dobrze przyjrzeć. Był wysoki, ciemnowłosy, przystojny. Chyba trochę kulał.

- Boże! - jęknęła prawie na głos.

Zdziwione staruszki prowadziły go wzrokiem, kiedy mijając ołtarz zszedł ze stopni i skierował się ku niej. Będzie nowy temat do plotek. Nie dane im jednak było usłyszeć wyszeptanych słów:

- Wybacz, proszę....

Za to pewnie za kilka godzin całą wieś obiegnie wiadomość o płaczącym w kościele wikariuszu. I o nieznannej kobiecie w ciąży przyciskającej jego głowę do swojej piersi.

### Prolog

- Ciocia, ciocia, jaki on śliczny, i jakie ma małe paluszki. - Katarzynka nie umiała panować nad emocjami. Kręciła się przy szpitalnym łóżku jak fryga. Wykonywała przeróżne figury by niemowlę rozśmieszyć.

- On jest jeszcze za malutki, żeby się bawić - Sabina odsunęła delikatnie córkę od kuzyna. Mogła niechętnie zrobić mu krzywdę. - Jak będzie starszy nauczysz go wszystkiego prawda?

- Tak, a teraz zobacz ciociu, co przywiozłam - Sabina bezradnie wzruszyła ramionami, gdy na łóżko posypały się wytrząśnięte z reklamówki misie, zajaczkę, pieski, lalki, kurczaczki, tygryski...

- To przecież moje prezenty! - klasnęła z radością. - O Boże, ile ich jest, no to Bartoszek będzie się miał, czym bawić. Katarzynko, jesteś wielka.

Klara pokraśniała z dumy. Trochę się obawiała, że już nie będzie najważniejsza, że ten mały intruz zabierze jej ciotczyną miłość. Ale nie, ciocia, Isia patrzyła na nią nadal z takim samym błyskiem w oczach jak kiedyś.

- Chodź skarbie niech cię przytulę - poprosiła wyciągając ku niej rękę. Ksawery biegający przy nich z aparatem uchwycił ten ważny moment. To chyba było najpiękniejsze zdjęcie. Ona obejmująca z jednej strony swojego cudownego synka i z drugiej tulącą do siebie swoją ukochaną siostrzenicę. To niesamowite, jacyż oni byli do siebie podobni...

### Bliżej Boga

#### I

Ręce trzęsły się jej w poszukiwaniu kluczy. Spojrzała na zegar stojący na zielonej kuchennej szafce. Siedemnasta. Cholera, jeszcze pełno wścibskich sąsiadów kręci się na schodach, w windzie, na osiedlu. Mogła się zaopatrzyć wczoraj, mogła kupić więcej. Dziś miała wolne, nie wychodziła z domu na krok. Miała jeszcze w chlebaku kawałek bułki i smalec był i cebula. Wystarczy, nie jest głodna. Tylko tej jednej rzeczy nie ma. Cholera jasna. To pewnie Dana. Była wczoraj, przyniosła jej gołąbki w słoiku. Wie, że nie gotuje, że dla jednej osoby nie warto. To ona na pewno opróżniła skrytki. Robiła porządki, wycierała kurze, zaglądała we wszystkie zakamarki.

- Boże, niech ja ją dopadnę - dotknięte mimochodem klucze leżące na kuchennym blacie spadły z brzękiem na posadzkę wyłożoną płytkami. Zlały się barwą z brązową mozaiką podłogi. Łucja schyliła się by je podnieść. W głowie zawirowało jej nagle, straciła równowagę i przewróciła się na śliskiej posadzce:

- Cholera jasna, cholera jasna - stękała rozcierając potłuczone kolana - żebyśmy się tylko nie połamała.

Dźwignęła się wolno. Nie zauważyła strużki krwi płynącej nad lewą skronią. Nie czuła bólu. Znieczuliła się już od rana. Dziś mogła, dziś miała wolne. Bo w pracy będzie musiała trzymać fason.

Kilka dni temu dyrektor wezwał ją do swego gabinetu i wprost zagroził:

- Pani Łucjo, tak dłużej być nie może. Prosiłem panią, upominałem a pani nie słucha. Będę musiał panią zwolnić. Brygadzistka się skarży. Podobno zniszczyła pani całą partię rękawic.

- Ależ, panie dyrektorze - broniła się zawzięcie - nici słabe były, popuszczały.

- Dobrze już dobrze - dyrektor machnął zniecierpliwiony ręką, jakby oganiał się od natrętnej muchy. - Daję pani tydzień urlopu i niech pani zrobi porządek ze swoim życiem, bo inaczej nie ma pani po co tutaj wracać...

Zrobić porządek ze swoim życiem? A co ona nieporządek ma? Że czasami wypije kieliszek albo dwa? Za swoje pije, nie kradnie. Dla kogo ma je ciuć? Do skarpety wkładać? Renia urządziła się jak pączek w maśle. Bogatego męża dostała, biedy nie ma a i matce nieraz kilka groszy podetknie. No to chyba żaden grzech, że Łucja czasami łyknie. A że w pracy? No cóż, tak jakoś wypadło, a to imieniny były, a to święto jakieś, a to w totolotka wygrała kilka groszy więc i powód do radości był. Nie jest żadną alkoholiczką! Niech jej dyrektor nie obraża. Brygadzistka lepiej by swojego chłopca pilnowała, bo gzi się z babami ze szwalni gdzie popadnie! Ją, Łucję niech zostawi w spokoju. Rękawiczki zmarnowała! Też coś! Niech stary dobre nici kupi to i poprawiać nie będzie trzeba.

Trzasnęła wtedy drzwiami i poszła prosto do sklepu. Mogła nie pić, mogła w każdej chwili z pić skończyć, ale po takim upokorzeniu należała jej się jakaś nagroda, jakieś zadośćuczynienie.

- Od jutra przestanę pić - obiecała sobie. Ale następnego dnia rano miała takiego kaca, taki ból głowy, że musiała wypić. Dyrektor przecież nie mógł jej sprawdzić a córka dzwoniła, że nie przyjdzie dzisiaj. Bo Renia też ubzduriała sobie, że ona za dużo pije, że to nałóg już może być. Przychodziła częściej niż dawniej. Niby to przy sprzątaniu pomóc. Szperała po kątach, po zakamarkach. Kiedyś znalazła butelkę z wódką i wylała całą jej zawartość do zlewu. Łucja nie zareagowała, śmiała się w sobie. Gdyby córka wiedziała, że specjalnie wtedy zmieszała wódkę z wodą, żeby inne kryjówki ochronić...

Dziś jednak wszystkie skrytki były puste. Wódki nie było ani w bieliźnie, ani w półce z butami, ani za płytkami pod wanną, ani nawet na balkonie między doniczkami z kwiatami. Łucja zdenerwowała się. I nagle ją olśniło. Rzuciła się do sypialni. Stłuczone kolano odezwało się bólem. Ale co tam ból, gdy za chwile dotknie zimnego szkła butelki, odkręci nakrętkę a potem wleje w siebie ten cudny, perlisty płyn, poczuje jak okleja on jej gardło, jak zsuwa się niżej do żołądka, jak wypełnia ją niewiarygodnie delikatne ciepło. Łucja zamknęła z rozmarzeniem oczy. Wsunęła rękę w zagłówek kanapy. Niecierpliwie przesuwając ręką wsuwając ją coraz głębiej. Lecz i ta skrytka była pusta. -K... mać - wrzasnęła jeszcze bardziej rozdrażniona. Kopnęła grzbiet kanapy. Noga znów zabolęła. Chwyciła z wieszaka brązową, szmacianą torbę i wybiegła z domu zapominając zamknąć drzwi na klucz. Nacisnęła guziczek windy, która akurat zjeżdżała z góry. Drzwi otworzyły się z hałasem. Łucja weszła do środka. Za chwilę będzie w sklepie, za chwilę nerwy się uspokoją. W poniedziałek pójdzie do pracy i wtedy rozpocznie nowe życie. To żadna sztuka przestać pić. Nagle spostrzegła swoje odbicie w lustrze. Podkrążone oczy, szara cera, krew na policzku. Boże jak ona wygląda!

Winda stęknęła, zatrzymała się. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Cholera będzie miała towarzystwo...

## II

Joanna obudziła się. Było już dobrze po południu. Słońce gwałtownie przedzierało się przez uchylone rolety. Dotknęło półki z książkami, fotela, puszystego dywanu. Kryształowe frędzelki nocnej lampki zapulsowały różnokolorowymi błyskami. Rozświetliły różową poduszkę z błyszczącego atlasu, pasma długich blond włosów, delikatną subtelną twarz, nagie ramiona. Joanna otworzyła oczy. Uśmiechnęła się. Rozejrzała się po swojej kawalerce. Na małym sekretarzyku stały zdjęcia w drewnianych ramkach, porcelanowe bibeloty, motylki, aniołki, kwiatki. Nad komodą wisiało ogromne lustro w złotej oprawie. Wszędzie wały się książki. Wnętrze emanowało ciepłem kobiecej ręki a dziewczyna tworzyła z nim nierozdzielalną całość.

Teraz też wyglądała jak przeniesiona z jakiegoś obrazu. Leniwym ruchem odrzuciła pościel. Była naga. Lubiła te chwile zaraz po śnie. Stała przed lustrem. Jej smukłe, równo opalone ciało napawało ją zachwytem. Była młoda i piękna. I wiedziała o tym. Zachwyconym wzrokiem oglądała swoje jędrne piersi, płaski brzuch i długie zgrabne nogi. Przeciągnęła się ruchem rozleniwionej kotki. Zanuciła pod nosem jakiś najnowszy szlagier i skierowała kroki w stronę łazienki. Za chwilę dał się słyszeć odgłos lejącej się wody. Letni prysznic ożywił jej ciało a świeżo zaparzona kawa rozjaśniła umysł. Może zje jeszcze jakiś owoc, wypije sok, bo o porządnym śniadaniu nie może być mowy. Musi dbać o linię. Wieczorem czeka ją wykwintna kolacja. Wtedy sobie pozwoli na więcej.

Dźwięk telefonu przerwał ciszę. Podniosła słuchawkę. To mama z troską w głosie wypytywała o bieżące sprawy. - Tak, mamuś, czuję się dobrze... pieniądze mam... wczoraj zarobiłam sporo w restauracji... tak zaliczyłam już wszystko... tylko jeszcze jeden egzamin... też tęsknię... - odpowiadała monosylabami niecierpliwie patrząc na zegarek. - A u Ani co? - nie mogła nie zapytać o siostrę. Wsluchiwała się w relacje matki pochlipującej prosto do jej ucha. - Wyślę Wam jutro trochę pieniędzy - obiecała widząc prawie jak matka ociera twarz chusteczką.

Odłożyła słuchawkę telefonu. Nie mogła teraz płakać, choć łzy już czekały by je uwolnić spod kłujących nagle powiek. Tam gdzieś daleko mieszkali jej najbliżsi, jej wspaniała kochająca się rodzina. Jeszcze rok temu tryskająca szczęściem, zdrowiem i miłością. Dziś..., ech, Joanna nie może pozwolić sobie na rozczulanie. Musi być piękna świeża. I musi zarobić więcej pieniędzy. Potrzebowała ich teraz bardziej niż kiedykolwiek. Otworzyła saszetkę z kosmetykami. Makijaż zmienił jej wygląd. Delikatna twarz nabrała ostrego wyrazu. Jaskrawo pomalowane oczy, warstwa pudru i głęboki karmin ust postarzał ją o kilka lat. Piękne proste jasne włosy zakryła lokowana kasztanowa peruka a obcisnięta bluzka z głębokim dekoltem uwydatniła piersi. Całości dopełniła krótka spódniczka i czarne

pończochy podkreślające szczupłość bioder i zgrabność nóg. Tak miała wyglądać dzisiejszego wieczoru. Takie zapotrzebowanie zgłosił klient.

Joanna spojrzała na zegarek. Była siedemnasta. Narzuciła na siebie płaszcz, chwyciła torebkę. Wyszła na korytarz, przekręciła klucz w drzwiach. Podeszła do windy. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Tyłem do niej stała jakaś kobieta. W lustrze odbijał się kawałek jej pochylonej twarzy. Szarej i zmęczonej, otoczonej posklejanymi strąkami nieumytych włosów. Nad lewą skronią widać było zakrzepniętą krew.

- Dzień dobry - Joanna poznała sąsiadkę z dwunastego piętra.

Kobieta odburknęła coś niewyraźnie. Do Joanny doleciał charakterystyczny zapach alkoholu. Wzdrygnęła się. Stała w rogu windy.

- Cholera - przeklęła sąsiadka - kiedy ta winda wreszcie zjedzie...

### III.

Danka nie czuła nóg. Wstała o piątej rano. Już prawie siedemnasta, a końca trudnego dnia nie widać. Właśnie zrobiła zakupy, teraz trzeba biec do żłobka po bliźniaki a później jeszcze odebrać Antosia ze Szkoły Muzycznej. Antoś gra na skrzypcach. Już trzeci rok. Dla Danki to duże obciążenie, bo musi małego odbierać ze szkoły trzy razy w tygodniu. Z bliźniakami wtedy zostaje Kasia. Kasia pięknie maluje. A Sandra pływa. Zdolne ma dzieciaki. Każde ją czymś zachwyca. Nawet Maciek w końcu podbił jej serce swoim bezwarunkowym kochaniem. E, nie to, że bolą nogi, ręce, że czasu wciąż mało. Warto, po stokroć warto... Danka uśmiechnęła się pomimo zmęczenia. Poprawiła włosy ruchem pewnej swojego uroku nastolatki. Jakiś mężczyzna przebiegający ulicę spojrzął na nią zalotnie. Odwzajemniła spojrzenie. O Boże, chyba się zapomniała! Rzuciła okiem na ratuszową wieżę. Uśmiech momentalnie uleciał z jej twarzy. Już jest spóźniona. Znowu dostanie burę od wychowawczyni. Pani Róża rzeczywiście czekała na nią w drzwiach sali witając zniecierpliwionym głosem:

- Pani Danusiu - wycedziła przez zęby - jest pani ostatnia. Już wszystkie dzieci zostały odebrane.

- Bardzo panią przepraszam, to się nie powtórzy. Ciągłe jestem taka zaganiana. Z szóstką dzieci zupełnie nie nadążam.

- Taka z pani mądra, wykształcona kobieta i nie wie pani jak się przed ciążami zabezpieczyć? - pani Róża zaczerwieniła się. Pozwoliła sobie na nazbyt wiele. Danka nie odpowiedziała. Trzęsącymi się rękoma ubierała swoje maluchy.

Uff, jak dobrze, że znalazła się na ulicy. Że mogła sobie popłakać nie zważając na zaciekawione spojrzenia przechodniów. W domu nie mogła się mazać. Rafał nie lubił, gdy okazywała słabość. Uczył ją siły i wytrwałości. I żeby się nie poddawać mimo wszystko. Wjechała więc na górę już z suchą twarzą i zostawiła maluchy w drzwiach swojego mieszkania

- Zaraz przyjdzie tata - krzyknęła do córki zawracając w kierunku windy. – Tylko odbierze Maćka.

Maciek miał Downa i chodził do przedszkola integracyjnego. Kiedy się urodził wszystkim to jego upośledzenie przeszkadzało Rodzina patrzyła z trwogą, znajomi z dystansem, sąsiedzi z wrogością. Bo Maciek czasem bił dzieci na podwórku i zabierał im zabawki. Bywało, że trzaskał drzwiami, śmiał się głośno a nawet krzyczał. Specjalnie tego nie robił, taki już jego inny świat był. Ale nie wszyscy to rozumieli. Nie wszyscy akceptowali go takim, jakim był.

Danka spojrzała ze zniecierpliwieniem do góry. Jak ta winda wolno zjeżdża! A Antoś tam na nią czeka. No nareszcie. Danka wielkim krokiem przestąpiła próg windy.

### IV

Stefania kręciła się po kuchni, niecierpliwie patrząc na zegarek. Zbliżała się trzecia. Zdążyła zmyć swój talerz po obiedzie i ustawić go na suszarce. Wytarła ręce w ściereczkę rozwieszając ją później na uchwycie gazowej kuchni. Wzrokiem porządnej gospodyni objęła swoje małe gospodarstwo. Tak, wszystko stało na swoim miejscu. Stół z białym obrusem i dwa krzeselka. Jedno jej, bardziej zniszczone, drugie nie używane od piętnastu lat, krzesło jej męża. Na starym kredensie poustawiane równiutko stały szklane pojemniki na przyprawy. Stare były, obtłuczone nieco, z wyblakłymi niemieckimi napisami. Pamiątka po matce. Jedyna rzecz, która po niej pozostała. Stefania przywiązywała się do rzeczy. To krzesło, te słoiczki były bliskie jej sercu, łączyły ją z ukochanymi osobami.

Duży, stojący stary zegar zaczął wydzwaniać godzinę trzecią. Stefania z szybkością na jaką pozwalały jej chore nogi poszła do pokoju. Włączyła radio ustawione na stałe na fale radia Maryja. Z aparatu dał się słyszeć ciepły głos rozpoczynający odmawianie Koronki. Stefania sięgnęła po różaniec leżący na komódce. Miała tam wszystkie swoje religijne akcesoria. Srebrną Pasyjkę, książeczkę do nabożeństwa, różaniec. Na ścianie wisiał obraz Jezusa Miłosiernego i Matka Boża Fatimska. W ramkach na zdjęcia uśmiechał się Papież Jan Paweł II i Benedykt XVI. Stefania uklękła i z wielką czcią i pobożnością włączyła się do modlitwy. Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie Jezusa na krzyżu. Jego cierpiące oblicze. Tryskającą krew z czoła i boku. Ciało Stefanii pochyliło się pod wymagowanym bólem. Zza otwartego okna dobiegały krzyki dzieci, pisk samochodowych opon. Stefania nie mogła się skupić.



- Nawet chwili spokoju - powiedziała ze złością. Wstała zniecierpliwiona, podeszła do okna a potem z trzaskiem zamknęła je. Za chwilę klęczała znowu i w błogim skupieniu powtarzała :

- Dla Jego bolesnej męki miej Miłosierdzie dla całego świata

Po Koronce siadła na swój ulubiony fotel. Teraz mogła posłuchać co tam w Polsce się dzieje. Kto jest za a kto przeciw. Kto umie rządzić a kto nie. Kto okrada ojczyznę a kto jej broni. Mądra była w tę „maryjną” wiedzę. Ojciec dyrektor autorytetem się cieszył, miłością jak Pan Jezus albo i większą nawet. Stefania codziennie Bogu dziękowała za to radio i Świętą Panienkę całowała z wdzięczności i uwielbienia. Stara, była, wzrok już nie ten miała, czytać nie mogła. A tu radio włączy i wszystko wie bez czytania. Samą prawdę a nie tam jakieś brednie jak w różnych gazetach. I pomodlić się uczciwie może. Z innymi. I nie jest sama, nie jest samotna. Tam do tego radia sami religijni ludzie dzwonią. Z całego świata. Pobożni jak ona Stefania. Bo Stefania była najpobożniejsza w całym bloku. Pamiętała o modlitwach na Anioł Pański i o Koronce i o Różańcu. Do Kościoła codziennie chodziła. Eucharystię z Panem Jezusem przyjmowała. Nie grzeszyła. Stara była, to co tam miała grzeszyć. Wychodziła tylko na Mszę. Zakupy w powrotnej drodze robiła. I co to za zakupy były. Chlebek, maselko, kawałek serka. Emeryturę małą miała, a tu od czasu do czasu za Czesia mszę trzeba było zamówić, kochane radio Maryja wspomóc.

O, nieraz tylko oknem popatrzyła, ale jej się wcale ten widok nie podobał. Dzieci wrzeszczały, popychały się i biły. Matki z papierosami w ustach kolorowe pisma czytały. Sodoma i Gomora. A jeszcze ten dzieciak z Downem. Jak trzaśnie drzwiami to się futryny trzęsą. Stefania nie miała dzieci, ale gdyby miała to by wiedziała jak je wychować. Słuchać by musiały i basta. I modlić się. Bo kto ma Boga w sercu ten musi być dobry. Stefania miała Boga w sercu. I była dobra. I porządna. Całe życie wierna była Czesiowi a i po jego śmierci nigdy nie zdradziła jego pamięci. A teraz młode to tylko zmieniają chłopów jak rękawiczki. Jak ta z dziewiątego. Taka ładna dziewczuszka a robi za ladacnicę. I gachów sprowadza, albo sama wychodzi. Cycki na wierzchu, tyłek prawie goły. Jak się Boga nie boi. Och, byłaby jej matką to stłukła by jej ten chudy tyłek i nauczyła rozumu jak swoje ciało szanować. Albo ta z dwunastego. Jak jej mąż żył to trzymał ją mocną ręką. A teraz rozpił się babsztyl, w biały dzień dzieci straszy. O, Stefania nie rozumiała dzisiejszego świata. Samo zło się panoszy wokół. To już Stefania woli w domu siedzieć, z pobożnymi z radia Maryja trzymać. Tu do Pana Boga najbliżej. No i oczywiście w kościele. Stefania spojrzała na zegar. Trzeba szykować się do kościoła właśnie. Stefania otworzyła szafę. Na wieszakach równiutko wisały bluzki, spódniczki, sweterki, płaszcze. Po dziesięciu minutach Stefania wychodziła z mieszkania. Było kilka minut po siedemnastej. Winda właśnie zjeżdżała więc Stefania nacisnęła guzik. Drzwi otworzyły się i kobieta zobaczyła jadących lokatorów. Boże, co za towarzystwo! Cofnęła się zdegustowana. Młoda dziewczyna zrobiła jej miejsce.

- Proszę - uśmiechnęła się ciepło - zmieścimy się wszystkie.

Stefania zrobiła krok do przodu. Wytrzyma tę chwilę. W końcu zaraz będą na dole...

## V

Winda szarpnęła i wolno ruszyła w dół. Zbyt wolno. Jak w kadrze w zwolnionym tempie. Z dziwnym chrzęstem zatrzymała się między piętrami. Kobiety spojrzały na siebie ze zdziwieniem. Czekwały, że ruszy, że zablokowała się na chwilę tylko.

- Co jest! - nie wytrzymała Łucja.

Joanna zaczęła wciskać guziki.

- Cholera jasna - Łucja zbliżyła się do drzwi. Zaczęła walić w nie pięściami. Może ktoś usłyszy. Pomoże. Zrobiło się jej niedobrze. Takie zamknięcie w klatce, że można się udusić. Ręce ponownie zaczęły się jej trząść. Musiała się napić, zaraz, natychmiast.

- Cholera jasna - warknęła wściekle.

Stefania odsunęła się od niej z niechęcią. Poczula odór alkoholu. Te przekleństwa i smród. Tego się nie da wytrzymać.

- Niech się pani uspokoi - rzuciła ostro - i niech pani tak nie przeklina...

- Delikatna panusia - Łucja zaśmiała się chrapliwie - wolność słowa jest, no nie - rzuciła ze złością. Żeby ta stara wiedziała jak jej niedobrze. Jakie dziwne dreszcze przechodzą jej wzdłuż kręgosłupa, a w żołądku umiejscowił się niewidzialny kamień.

- Muszę stąd natychmiast wyjść, pier..ona winda - krzyczała piskliwie - zaraz wszystko roz..lę, rzęch taki ludziom do użytku dają. A jak to spadnie, jak runie to pozabijać się można. Dziadostwo zasrane...

- Niech się pani nie denerwuje - odezwała się Danką - Zaraz ktoś usłyszy, wezwie mechanika, naprawi.

Łucja przykucnęła, ściśniętymi dłońmi objęła brzuch. Zakółysała się. Joanna spojrzała na zegarek. Klienci nie lubili, gdy się spóźniała. Musi uprzedzić, zadzwonić.

- Jak to dobrze, że ma pani telefon - ucieszyła się Danką, gdy Joanna ciepłym, aksamitnym głosem poinformowała kogoś po drugiej stronie, że winda się zacięła i że ona zaraz natychmiast przyjdzie gdy uszykują awarię - można zadzwonić po pomoc.

- Proszę - Joanna podała jej telefon. Danką wystukała numer swojego telefonu domowego

- Rafał, dobrze że jesteś, winda się zacięła, biegnij po Antosia i wezwij pomoc - wołała uspokojona, że mąż jest w domu, że odebrał wiadomość.

- No i wszystko będzie dobrze - powiedziała nachylając się w kierunku Łucji - na pewno zaraz ktoś przyjdzie...

Łucja nie zareagowała. Siedziała na podłodze windy łykając powietrze dziwnymi zrywami. Spod zamkniętych powiek wypływały łzy. Nagle jej ciałem wstrząsnął skurcz. Jezu! Chyba ta pijaczka nie zacznie tu wymiotować. Stefania wcisnęła się w sam róg windy.

- Zwariowała pani!! - Joanna szybkim ruchem wyciągnęła chusteczkę z torebki i zaczęła wycierać ubrudzone pończochy - jak ja teraz na spotkanie pójde! - zdenerwowała się.

- Może to i lepiej - wtrąciła się Stefania - nie będzie okazji do grzechu.

- Co panią obchodzą moje grzechy! - dziewczyna nie panowała nad złością - o swoją duszę niech się pani martwi, dewotka jedna.

- Może jestem dewotka - nie dała za wygraną Stefania - ale gdybym miała taką córkę jak ty to bym jej znać nie chciała - Stefania splunęła jej po nogi.

- A ja takiej matki - odwzajemniła się starsza Joanna - co to przez dziurkę od klucza ludzi podgląda, śmieci pod drzwi lokatorom podrzuca, plotki rozsiewa. Co tylko domek - kościółek, kościółek - domek a w sercu bagno. Brrrr, gnojowisko nie bagno!

Stefania splonęła rumieńcem. Takich słów nie ścierpi. Taka młoda sigza będzie ją obrażać?

- Ty do mnie tak nie mów ladacznico - Stefania czuła jak ciśnienie jej gwałtownie rośnie - zgorzienie tylko przez ciebie w bloku jest. Cycki na wierzchu, tyłek na wierzchu, pfuj.

- A ty zazdrościsz, bo brzydka jesteś, stara i nikomu niepotrzebna? Ludzi straszysz swoimi zezowatymi ślepiami i zgryźliwym jęzorem - Joanna zaśmiała się ironicznie - jak wiedźma z bajek wyglądasz co dzieci straszy...

Joanna nie poznawała siebie. Skąd u niej tyle gorzkich słów, skąd tyle złości. Nie powinna dać się sprowokować, nie powinna odpowiadać tak tej starszej. Wyjęła z torebki lusterko. Spojrzała na nieznaną, wymalowaną twarz, niebieskie powieki, złem błyskające oczy. Czerwoną pomadkę, poprawiła usta. Przecież stara prawdę mówi. prostytutką jest.

- Tylko spokojnie - Danka próbowała opanować nerwową sytuację. Klęczała nad Łucją trzymając ją w objęciach. Rąbkiem swojego swetra wycierała jej twarz, głaskała po głowie, szeptała czule. Łucja poddawała się tej nieoczekiwanej pieśczości. Uspokoila się. Zwinięta w kłębek oddychała równo.

- Jak pani się nie brzydzi - Stefania zwróciła się nagle ku Dance - mnie się niedobrze robi jak na nią patrzę. Alkoholiczka jedna. Sama sobie winna.

- Pani to co dzień do kościoła lata a dla ludzi taka nieludzka - Danka pokiwała z niesmakiem głową - przecież to choroba jest. Tu pomoc trzeba a nie odsuwać się.

- Jakby Boga w sercu miała to by się tak nie stoczyła.

- Bóg daleko, a strapienia blisko. Do wszystkich nie zdąży.

- Modlić się potrzeba. A pani też w kościele nie widzę. To i jak może pani o Bogu rozprawiać?

Danka zamyśliła się. To prawda rzadko chodziła do kościoła, choć wierzącą była. Niedziela to był czas na generalne porządku, na większe zakupy, pranie, prasowanie...

- No widzi pani? Mam rację. Gdzie Boga nie ma to i radości być nie może - głos starszej wrócił do niej jak bumerang.

- Przecież szczęśliwa jestem - rzuciła jej w twarz.

- Szczęśliwa? - zdziwiła się Stefania - A ten pani chory synek to szczęście? Pan Bóg daje nieraz karę na opamiętanie, na nawrócenie. Choroba za grzechem idzie.

- Co też pani plecie - Danka oburzyła się - jak coś takiego pani przez usta przejść może. Dzieci pani ma?

- Nie było mi dane - Stefania odwróciła wzrok od pytającej. Dziesiątki lat upłynęły od czasu gdy pod jej sercem zagnieździła się mała istotka. Stefania zdążyła ją pokochać, poczuć swą kobiecość, macierzyńskość i zaraz potem było to jej odebrane. Tępy ból jaki odezwał się jej w piersi przypomniiał tamten z pierwszego roku jej małżeństwa.

- No to może Pani nosi w brzemię kary, to panią Bóg ukarał bardziej niż mnie - Danka zadziornie spojrzała w oczy starszej.

Stefania spojrzała zdziwiona. Nigdy nie myślała o tym w takich kategoriach. Jej dobry Bóg nie mógłby być tak okrutny. Widocznie potrzebował tego jej małego aniołka. Stefania całe życie miała ufność Najwyższemu. Niczym było jej cierpienie w stosunku do Jego Męki. Nie, żadne słowa nie zmącają jej silnej wiary, jej bezbrzeżnej miłości. On teraz tam na nią czeka, w Tabernakulum, a ona tu z bezbożnymi kobietami o głupotach rozprawia. Sięgnęła do torebki. Wyciągnęła różaniec. Zaczęła odmawiać zdrowaśki. Wolno przesuwiała palcami po znajomych koralikach. Od lat wciąż tych samych. Oparła się o ścianę odcinając bólące od stania nogi. Przymknęła oczy. Nie widziała już ani wymalowanej dziewczyny, ani jęczącej w kącie pijaczki, ani pochylającej się nad nią kobiety.

- Święta Mario... módl się za nami grzesznymi - zaczęła głośnie. Może się ktoś przyłączy do modlitwy, nawróci.

- Mnie tam do śmierci niedaleko, bliżej Boga jestem, ale wy? - wybuchła nagle - Na zatracenie idziecie! Na zatracenie!

W windzie zapadła grobowa cisza...

## VI

Na zatracenie idziecie... Słowa Stefanii obity się echem o ściany windy, rozbiły się na kilka części i zasiały niepokój w sercach uwięzionych kobiet.

Joanna pomyślała o sobie... o tym co robi, jak zarabia pieniądze. Ale przecież żadna praca nie hańbi. Potrzebowała pieniędzy, dużo pieniędzy. Nigdzie tak dobrze nie zarobi jak w agencji. Jeszcze rok temu nie musiała szukać zarobku, jeszcze rok temu rodziców stać było na jej naukę. Ale od kiedy zdarzyła się ta tragedia wszystko się jakoś podwracało, skomplikowało. Kiedy Ania wpadła pod samochód pieniędzy wciąż brakowało na jej rehabilitację. Jeździli z nią po całej Polsce. Żeby jej twarz wygładzić, przeszczepy robić, dawny kształt głowy przywrócić. Nadzieja była, że się uda, że będzie lepiej. Tylko, że to kosztowało, dużo kosztowało. A oni, rodzice i Ania tylko na nią Joannę mogli liczyć. To im pomagała. Znalazła dobrą pracę, zarabiała dużo. Na studia też starczało. Na wynajem mieszkania, na ciuchy modne też. Więc tak musi być, tak będzie dopóki się nic nie zmieni, dopóki Ania całkowicie się nie wyleczy.

Na zatracenie idziecie...

Łucja przygryzła wargi. Jak to się stało, że zaczęła pić? Kiedy żył Czesław wszystko układało się szczęśliwie. Bardzo go kochała. Był dla niej i mężem i przyjacielem. Wszędzie chodzili razem, takie papużki nierozłączki - podśmiewywali się znajomi. I nagle ten telefon ze szpitala. Zawał. Nie zdążyła się z nim pożegnać, nie zdążyła mu powiedzieć jak bardzo go kocha. Płakała przez dwa lata. Tuliła do siebie jego ubrania, czytała wciąż tę samą stronę książki, którą pozostawił otwartą na nocnej szafce przy łóżku. Gryzła paznokcie z bólu oglądając kasetę ze ślubu córki.

A potem przyszło ukojenie. Na imieninach u koleżanki. Upiła się wtedy jak smok. Ucieszyła się, że znalazła lekarstwo, że jest coś co jej pomaga zapomnieć. Zaczęła śpiewać, tańczyć, szukać towarzystwa. Już jej serce tak nie pękało z bólu, już udawało jej się tę straszną tęsknotę za Czesiem zagłuszyć. Łucja znów poczuła ostry ból za zębami. Tak chciało jej się pić, tak cholernie chciało jej się pić....

Na zatracenie idziecie... Danka rozważała słowa Stefanii. To prawda daleko odeszła od Boga. Najbardziej zbuntowała się, gdy na świecie pojawił się Maciuś.

- Dlaczego Panie mnie tak doświadczasz - pytała patrząc w skośne oczy synka. Nawet ufny i kochający Rafał nie potrafił w niej tej pretensji uspić. No, bo wkoło było tyle zdrowych, szczęśliwych dzieci a ona z rozpaczą przyglądała się nieporadnym ruchom swojego chorego synka, z bólem serca nadśluchiwała bełkotliwie wymawianych słów, martwiła się, gdy ciągle na coś chorował. No i miała problem z miłością. Nie umiała go pokochać tak od razu, tak bez żadnych zastrzeżeń. Dopiero Rafał ją tego nauczył, dopiero on odkrył przed nią cały piękny świat Maćkowych uczuć. Ale pretensja do Pana Boga została i gdzieś tam na dnie serca raniła jak niewidzialny kolec. Może powinna wreszcie się z Bogiem pojednać? Zaufać mu. W końcu dał jej jeszcze inne, zdrowe dzieci do kochania. I Rafała - męża Anioła - jak o nim mówiły sąsiadki. Tylko, że wciąż jakoś na to nie było czasu. Może jak bliźniaki podrosną, jak się odchowają ?

Nagle winda ruszyła nabierając prędkości chyba nawet szybciej niż powinna. I prawie natychmiast zgasło światło. Gwałtowne szarpnięcia rzuciło kobietami w różne strony. Nagła ciemność i chrzęst spadającej windy włą się paniką w serca jadących. Ktoś się przwrócił, ktoś chwycił kogoś za ramię, ktoś krzyknął przerażony. Zgrzyt łańcuchów wbijał się piskliwie w uszy. Coraz szybciej wskakiwały jasne plamy światła mijanych kondygnacji. Potem walnęło o posadzkę aż blok poruszył się w posadach, jakby podłożył pod niego lont z dynamitem. Bury tuman kurzu oderwał się od betonu i popłynął do góry. Z windy wydobył się niepokonywany kaszel. Za chwilę żarówka zajarzyła wątłym światłem. Przerażone kobiety patrzyły na siebie niespokojnym wzrokiem. Żyły, nic im się nie stało. I zaraz potem spojrzały w dół, na leżące nienaturalnie skręcone ciało. Na zakrwawioną głowę i nieruchome oczy. I znów ogromny strach wcisnął się w ich serca. Przykucnęły, któraś zanosła się płaczem, któraś przekleła. Widna zadrzała po raz ostatni. Wzdłuż podłogowych desek z dziwnym odgłosem poturlał się drewniany różaniec...

## VII

Łucja czuła w lewej nodze dokuczliwe mrowienie. Od czasu wypadku w windzie potłuczone biodro odzywało się bólem bardzo często. Lekarze mówili, że to się jakoś unormuje, ale się nie normowało. Łucja postanowiła kupić sobie coś w aptece, jakieś tabletki albo maść. No i przy okazji zrobi zakupy. Na kolację zostało tylko trochę dzemu i masło. Kupi więc może jeszcze pomidory, albo twarożek. Coś lekkiego, dobrego. Sama nie wie kiedy stanęła przy ladzie z alkoholem. Poprosiła jedną butelkę. Nie zamierzała pić, ale niech ta wódka stoi u niej na stole, nich ją kusi i ona Łucja udowodni sobie i innym, że jej nie ruszy. Wracała szybko potykając się o nierówności chodnika. Torba z wódką parzyła jej rękę. Wbiegła do pierwszej napotkanej bramy. Trzęsącymi rękami wyciągnęła butelkę z torby. Odkręciła nakrętkę.

- Tylko łyczek - przyrzekła sobie - jeden malutki, niewinny łyczek...



Opuszczając rękę z butelką natrafiła na czyjeś spojrzenie. Naprzeciwko stała Stefania. Wyciągnęła do niej rękę i Łucja włożyła w nią rozpoczęte pół litra. Zarumieniła się. Staruszka chwyciła ją pod ramię i poprowadziła w kierunku bloku. W piaskownicy bawili się bliźniaki.

- Babcia, babcia - krzyknął uradowany Staś.

Obok na ławce siedziała Joanna. Czytała jakąś grubą książkę raz po raz spoglądając na dzieci. Związane frotką jasne włosy kołysały się miękko przy każdym poruszeniu głowy. Zielona sukienka podkreślała jasność cery i piwny kolor oczu. Z naprzeciwka zbliżał się Rafał. Maciek wyprzedzał go o kilka kroków. Oboje śpiewali jakąś marszową piosenkę wybijając jej rytm butami.

- Jak to dobrze - pomyślała Łucja - że Rafał już może się śmiać, że śpiewa. Po wypadku wciąż płakał. Niby dorosły i mężczyzna a nie umiał ukryć bólu i rozpaczy. Został sam z szóstą dziećmi. Wtedy urodziły we trzy, że Rafałowi pomogą.

- Babciu opowiesz mi bajkę - Maciek podbiegł do Stefanii. Jego skośne oczy patrzyły z nadzieją.

- Jak tylko wrócę z cicią Łucją...

Stefania chodziła z Łucją do klubu AA. Siedziała razem z nią na wszystkich spotkaniach. Uczyla się jak trzeba walczyć z chorobą alkoholową. Nie wiadomo kiedy zrodziła się między nimi przyjaźń. Trudna przyjaźń, w której Stefania musiała pełnić także rolę strażnika. Czasem Łucja dezertowała, jak dziś. Ale przecież starała się, bardzo chciała. W radiu Maryja też mówili żeby pomagać. No to Stefania pomaga. Joannie też odstąpiła jeden pokój, żeby nie musiała za kawalerkę płacić i w agencji pracować.

Łucja wsunęła rękę do kieszeni. Natrafiła na różaniec. Ten sam różaniec, który podarowała jej Stefania. Za chwilę piętnasta. Idąc na mitting będą mogły wspólnie odmawiać Koronkę. Radio Maryja będzie musiało znowu poczekać... I jutro też. Bo jutro dzień będzie pewnie wypełniony po brzegi. Łucja się nie mogła go doczekać... Żeby tylko nie padało, żeby było pięknie - marzyła...

I było pięknie. Od samego rana słońce grzało mocno a jego promienie odbijały w kolorowych liściach, kroplach rosy na trawie, bawiło się z płatkami astrów na przybłokowej grządce.

Łucja od rana krzątała się w kuchni. Piekła ciasta. Takie jak lubił jej Czesław. Zasłynęła ze swoich słodkich wypieków na całą okolicę. Dziś piekła na szczególną okazję. W całym mieszkaniu pachniało dopiero co wyjętym z piekarnika sernikiem. Jeszcze będzie szarlotka i tort ze śmietanowym kremem. Boże jak się jej dziś ręce trzęsą. Może by tak kilka kropel na uspokojenie? E, nie! W takim dniu Łucja musi być trzeźwa, nie może narobić nikomu wstydu. I musi się pospieszyć. Rafał mówił, że przyjadą o czternastej.

Samochód, który podjeżdża pod blok jest duży. Zatrzymuje się przy krawężniku. Drzwi od szoferki otwierają się i wysiada z niej Rafał. Rozsuwa boczne drzwi, wysuwa podjazd. Spogląda na zebranych przed blokiem ludzi. Na ubranych w odświętne garniturki bliźniaków, na Kasię, Antosia, Sandrę, Michasia. I na swych nowych przyjaciół: Łucję, Stefanię. Joannę...

Po samochodowym podjeździe zjeżdża wózek, na którym siedzi Danka. Błada, poważna, chyba trochę wystraszona. Minęło kilka miesięcy odkąd opuściła dom. Teraz wraca z długiego szpitalnego leczenia. Jeszcze nie chodzi, nie mówi, ale jest, żyje. Gdzieś z otwartego okna rozlegają się oklaski. Ktoś intonuje „sto lat” Danka rozgląda się niepewnie. Widzi rozradowane twarze i miłość w oczach tych, którzy na nią czekają. Rafał wyjmuje z szoferki czerwone róże, kładzie je żonie na kolanach. Niepewny uśmiech wypływa na twarz chorej. Już jest dobrze. Bezpiecznie.

Wtedy przed gromadkę czekających wysuwa się Antoś. Układa na ramieniu skrzypce, pociąga smyczkiem po strunach. Przez podwórko niosą się pierwsze dźwięki. Danka porusza bezgłośnie wargami. Przecież to zna, pamięta. Cichutkie niewyraźne słowa wtórują pieśni. To jej ulubione Ave Maryja...

## Sofija

Obudziło ją skrzypnięcie dochodzące gdzieś z głębi domu. Otworzyła oczy natrafiając na ciemność. Potrzebowała czasu by rozróżnić kontury mebli, okiennych ram, szczytu łóżka. Wciąż uczyła się tych kształtów od nowa, wciąż zaskakiwało ją ustawienie sprzętu w miejscach w których by się ich nie spodziewała. To uczucie obcości dopadało ją najczęściej w nocy. Wtedy, gdy nagle z jakimś niewytłumaczonym lękiem budziła się i nie umiała pozbyć się wrażenia, że widzi ten pokój po raz pierwszy. Znów to skrzypnięcie. Wysiliła słuch by odkryć źródło. To chyba drzwiczki kuchennej szafki. Pewnie córka myszkuje po półkach w poszukiwaniu czegoś słodkiego.

- Irenka - zawołała cicho.

- Tak mam - postać córki pojawiła się w drzwiach. Rozbłysło boczne światło. Wera zmrużyła oczy.

- Znów nie możesz spać? - kobieta nachyliła się nad nią zatroskana.

- Nie mogę - przyznała - tak tu cicho.

- Przynieść ci coś na sen?

- Nie, nie trzeba. A ty czemu nie śpisz?

- A tak, jakoś... chyba pełnia...

- Karol wrócił?

- Został na nocnej zmianie.

- Irenko, czy ja wam aby nie zawalam? Karol ciągnie te nadgodziny specjalnie dla mnie. Wiem ile, co kosztuje i że lekarstwa drogie... A przecież wy jeszcze młodzi jesteście, pobawić byście się mogli, wyjść gdzieś razem. Matylda też swoje potrzeby ma - Wera otarła łzy zbierające się na końcach rzęs - Czuję, że sprawiam wam kłopot.

- No, co też mama - Irenka nachyliła się nad Werą, pogłaskała ją po siwych włosach - Jaki kłopot? Przecież to radość, że jesteśmy razem, że mam znów mamę przy sobie.

Wera przymknęła oczy. Tak bardzo chciałaby, żeby to była prawda. Tylko, że Karol wracał do domu coraz później a córka ze wstydem zakrywała zapłakane oczy.

- Przyniosę coś do picia - Irenka nie dawała za wygraną

- Nie trzeba, naprawdę nie trzeba - odpowiedziała.

Drzwi stuknęły cicho. Pewnie Irenka wróciła do swojego pokoju.

Wera otworzyła oczy. Wiedziała, że teraz już tak prędko nie zaśnie. Wszechogarniająca cisza znów owinęła się dokoła jej ciała. Nie mogła się do niej przyzwyczać. Tam na dworcu spała twardo mimo hałasu, megafonowych zapowiedzi, ludzkiego gwaru i fali podróżnych wylewających się z pociągów o każdej porze dnia i nocy. Tu każdy szelest, skrzypienie, stukot, budził ją wprowadzając w stan niepewności i lęku. Wciąż miała wrażenie że nie tu a tam jest jej dom. Choćby tym domem nazywała składane łóżko, stary koc i torbę w którym mieścił się jej cały dobytek.

Ruda Staśka, którą dzieci wyrzuciły z domu, gdy przepisała im cały swój majątek była pierwszą osobą, którą spotkała na swej nowej drodze życia. Nowej, bo niczego co było przedtem nie pamiętała. Od wtedy, gdy stała zagubiona na peronie rozglądając się wokół w poszukiwaniu czegoś lub kogoś, co byłoby jej bliskie i znajome. Pamiętała tylko że jechała pociągiem. Nie była jednak w stanie przypomnieć sobie skąd przybywa i dokąd zdąży.

Ruda Staśka musiała dojrzeć tę jej niepewność a nawet rozpacz w oczach bo nic nie mówiąc pociągnęła ją w róg dworca na rozłożone na posadzce koce. Było jeszcze ciepło i spanie bezpośrednio na ziemi nie było obce tym, którzy tam mieszkali na stałe. Przyglądali się jej ciekawie. Bolek, który śmierdział z daleka jak skunks a później okazał się najlepszym kompanem i dzielił się wszystkim co udało mu się zdobyć. Safandula, który wyglądał jakby nie umiał do trzech zliczyć, a kiedy mundurowi przyszli by ich przepędzić z dworca pierwszy zagroził im drogę za nic mając sobie ich wyciągnięte pałki i wrogie oczy. I Berenika, która wolała być wśród nich niż wykładać psychologię na uniwersytecie. Tak jej ich teraz wszystkich brakowało. Przez ostatnie lata byli jej najbliższa rodziną... Przez ostatnie lata byli jej całym światem.

Wera odwróciła się na drugi bok. Wygodnie jej było na szerokim łóżku. Wykrochmalona pościel pachniała wiatrem i lawendą. Jutro na śniadanie będą pewnie chrupiące bułeczki i kakao. Tam na dworcu śniadanie było zawsze wielką niewiadomą. Dobrze było, jeśli w ogóle było... Tu rano doleci do jej łóżka zapach jajeczniczy na boczku albo naleśników z serem. Irenka już się postara, żeby miała wszystko, co najlepsze. Teraz, kiedy ją odnalazła, kiedy przywiozła z powrotem do domu czuwała nad nią jak Anioł Stróż. Wciąż powtarzała jej, jakie to szczęście, że spóźniła się wtedy na pociąg i czekając na następny przyglądała się bezdomnym śpiącym w rogu dworca. Wtedy zauważyła Werę, jak wracała z toalety. Jak położyła się obok rudej kobiety i przykryła kraciastym kocem. Coś pchnęło ją by podejść bliżej. Przybliżyła się więc jak lunatyczka przytrzymując rękoma miejsce gdzie pod bluzką łomotało oszalałe nagle serce.

- Czego? - zatrzymało ją nieprzyjazne spojrzenie Rudej. Sąsiadujące głowy uniosły się żądne sensacji.

- Poszła won! – smagnęły ją jak biczem następne nieprzyjemne słowa.

Zawahała się. Mogło się jej przecież wydawać, że ta kobieta w wełnianej chustce i poplamionym swetrze jest jej matką. Minęło tyle lat, gdy widziała ją po raz ostatni.

- Mamo - zawołała ryzykując pomyłkę

Ruda rozdziawiła buzię ze zdziwienia. Szarpnęła Werę za ramię.

- Poznajesz? To chyba twoja córka. Boże! Co za cud! Ludzie, ludziska. Wera ma rodzinę. - krzyczała skupiając wokół siebie nie tylko bezdomnych.

- Mamo - to ja Irenka, powiedz, że mnie poznajesz - córka próbowała przekrzyczeć Rudą. Trzęsącymi rękami dotykała jej twarzy. Z niepokojem patrzyła w jej przerażone nagle oczy. Ludzie zaczęli przystawać i przypatrywać się ze zdumieniem dziwnej scenie, jak młoda elegancka kobieta klęczy przy obdarłej bezdomnej staruszce i zalewa się łzami...

Wera usiadła na łóżku. Za oknem zaczynało szarzeć. Spojrzała na komodę. Na stojące tam zdjęcia. Na poukładane równo albumy z fotografiami. Poznawała bliskich i znajomych przez codzienne opowieści córki i zięcia. Wysłuchiwała tytułu różnych historii, Nauczyła się imion, stopni pokrewieństwa, ważniejszych wydarzeń w rodzinie. Poznawała siebie i swoją przeszłość. Tyle, że nic i nikt nie potrafił pomóc jej w odzyskaniu pamięci. Córki też nie pamiętała. Tam na dworcu nie wiedziała co się dzieje. Patrzyła przerażona jak obca kobieta trzyma ją za rękę, jak mówi do niej z czułością, jak zagląda jej w oczy. A ona nie wiedziała, kto to i dlaczego tak... Nic nie mówiła jej ta obca twarz, obce

oczy, głos. Ujęła ją tylko ta czułość wypływająca z jej ust i to spojrzenie przepełnione miłością. Nie pamiętała żeby ktoś na nią tak patrzył. Ani Ruda Staśka, ani Berenika, ani nawet Safandula, gdy kiedyś w przyływie dobrego humoru poprosił ją o rękę. Stała, więc bez ruchu chłonąc każde słowo, każdy okruch tego miłostnego tańca i poszła za tą, która rozpoznała w niej swoją matkę, która do dziś obdarza ją pokładami czułości i miłości. Jej Irenka. Ktoś o kim przez wszystkie lata bezdomności mogła tylko pomarzyć. Teraz miała swój dom, swoją kochającą rodzinę, swoje miejsce na ziemi. Nie ważne, że czasami dopadało ją wrażenie obcości i zagubienia. Takie jak to teraz....

- Babciu, babciu. Jakiś list do ciebie - Matyldzia wbiegła do pokoju trzymając żółty prostokąt w dłoni.
- Do mnie? - Wera bardziej by się zdziwiła na wiadomość o lądujących kosmitach.
- Do ciebie, zobacz - wnuczka podała jej kopertę.

Wera odczytała swoje imię i nazwisko napisane drukowanymi literami. To nie mogła być pomyłka. Tylko, że nikt dotychczas do niej nie pisał. Nie otrzymywała żadnych listów odkąd tu na nowo zamieszkała. Obejrzała kopertę ze wszystkich stron. Podniosła ją pod światło. Poczowała znów ten niepokój jak dziś rano na cmentarzu. Wybrały się tam na prośbę Matyldy. Początkowo Wera nie miała ochoty. Nieprzespana noc odezwała się bólem głowy i powiek. Ale Matyldzia prosiła, że chce do dziadka... Uległa jej namowom. Poszły, więc we dwie i nawet się cieszyła, że odetchnie świeżym powietrzem, że patrząc na groby, na napisy na pomnikach poruszy jakieś trybiki w swej pamięci, że odkryje jakiś szczegół, detal, który odblokuje to coś w jej głowie, co nie pozwalało funkcjonować normalnie. Usiadły na ławeczce przy Waławie. Jej Waławie. Przyjrzała się fotce umieszczonej z boku pomnika. Wpatrzyła się intensywnie w jego oczy, skierowała wzrok na usta, policzki.

- Boże, jak można nie rozpoznać własnego męża! - pomyślała na nowo zrozpaczona - Jak można nie pamiętać nic, zupełnie nic z tego co było, co ich łączyło!

Objęła rękoma głowę, serce jej podskoczyło gwałtownie i poczuła niewytłumaczony lęk, że już tak będzie zawsze. Nigdy nie dowie się tego co było przedtem. I zawsze ten mężczyzna na zdjęciu będzie dla niej kimś zupełnie obcym...

Teraz ten list i ten sam niepokój jak na cmentarzu. I to samo drżenie rąk i kołatanie serca.

- Zawołaj mamę - poprosiła wnuczkę siadając ciężko na fotelu. List dziwnie parzył jej ręce, więc położyła go na brzegu stołu. Nie potrafiła go otworzyć sama, nie chciała odczytać w samotności tego co zawierał...

- Co się dzieje? - na Irenkę nie trzeba było długo czekać - Podobno jakiś list do Ciebie? Nie trzeba sobie nim zawracać głowy. Może to jakaś reklama!

- Przeczytaj - poprosiła - mam przecucie, że to jakaś ważna wiadomość.

- E tam, kto by do mamy napisał? A takich co w oszustwa wciągają dookoła pełno - Irena sięgnęła po list odwracając się ku wyjściu.

- O! list od Szoltyśiaków? Poznaję po kopercie! - Karol stanął w drzwiach wcale nie zdziwiony - Nareszcie zdecydowałaś się go pokazać mamie - ucieszył się zacierając ręce - Nie można tego ukrywać bez końca.

- Czego nie można ukrywać bez końca - Wera jeszcze niczego nie pojmowała.

- Tych listów, co do mamy przychodzą

- Jakich listów? - zapytała nadal nic nie rozumiejąc.

- No tych od Szoltyśiaków. Teresa Szoltyśiak pisze regularnie od kilku miesięcy.

- Ale dlaczego - Wera patrzyła to na twarz zięcia ogromnymi ze zdziwienia oczami.

- Niech mama tak na mnie nie patrzy! - Karol natarł na teściową z dziwną u niego agresją - już dawno prosiłem Irenę, żeby czytała mamie te listy. Tamci ludzie wciąż czekają na jakiś znak.

- Jacy ludzie - dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach

- No ci co zgłosili się po tym reportażu w telewizji. Jak mamę na dworcu Irenka odnalazła. Twierdzą, że mama jest ich. Chcą się o tym przekonać - Karol mówił podniesionym, głosem jakby to miało pomóc mu w wylaniu dawno skrywanej tajemnicy.

- Mamo, chyba w to nie wierzysz? - Irenka dopadła do jej kolan - Jestem twoją córką i nie mogłam się pomylić - wyrzucała słowa jak wulkanową lawę. - Chyba mi wierzysz, chyba wierzysz mi mammo? - powtarzała wkółko patrząc z nadzieją w Weroniki oczy.

- Chcę tam pojechać - Wera wyprostowała plecy. Ominęła wzrokiem błagalne spojrzenie córki.

- Ależ mammo! Nie możesz! Przecież wiesz jak cię kocham!

- Chcę tam pojechać - powtórzyła głośniejszym głosem chowając głowę w skulone ręce - Chcę tam pojechać jak najszybciej.

Jechali piaszczystą drogą ciągle w górę i w górę. Kilka razy dopytywali się o drogę.

- Świat zabity dechami - mrucał ze złością Karol obawiając się, że samochód nie wytrzyma dziurawej nawierzchni. Weronika nie odzywała się ani słowem wpatrując się zachłannie w mijane krajobrazy. Nie mogła ominąć żadnego szczegółu, żadnego znaku który mógł stać się dla niej jakimś drogowskazem, czymś pierwszym co odblokuje jej pamięć. Bała się tej podróży i tej konfrontacji. Ale też i miała dziwną nadzieję, że może wkrótce przeszłość się jakoś dla niej otworzy.



Obejście, które wskazał im jakiś wieśniak stało na poboczu. Otoczony drewnianym parkanem wiejski dom straszyl ruiną i brzydotą. Stare, wypłowiałe dachówki, opadający płatami tynk, przekrzywiony komin. Po podwórzu walające się części jakichś maszyn, kamieni, różnych śmieci. Weronika obrzuciła to wszystko jednym spojrzeniem stając przed furtką. Nie takiego obrazka się spodziewała, nie tak wyobrażała sobie to miejsce. Ale już nie mogła się zatrzymać, już nie mogła się wycofać. Popchnęła bramkę. Nagle przez podwórko przetoczyła się jazgocząca czworonożna kulka.

- Budrys, do budy... - na progu stanęła kobieta w pasiastym fartuchu. Spojrzała w kierunku nieznajomych. Nie rozpoznawała nikogo.

Pies skulił ogon, podbiegł do gospodyni, przysiadł czujnie u jej nóg.

Weronika zrobiła niepewnie kilka kroków. Kobieta prowadziła ją wzrokiem przyglądając się uważnie.

- Boże, mama! - krzyknęła nagle unosząc ręce nad głowę.

Pies skoczył na równe nogi, zakręcił się w kółko a potem ruszył w kierunku Weroniki wzbijając tuman kurzu.

- Budrys, Budrys - kobieta zawołała przerażona.

- Budrys - powtórzyła łagodniej widząc jak pies tańczy wokół Weroniki merdając ogonem.

Siedzieli w kuchni wokół drewnianego stołu. Przez małe okna do wnętrza pomieszczenia wpadały słoneczne promienie barwiąc ściany na różne odcienie żółci i czerwieni. Na parapecie ciasno stłoczone stały doniczki z pelargoniami. Czerwonymi. Takie jakie Weronika sadziła w przydomowym ogródku. Rozmawiali przyglądając się sobie wzajemnie. Co chwila ktoś pukał do drzwi i dołączał do tych, którzy już byli. Od początku rozpoczynała się opowieść o tym jak matka dziesięć lat temu wyszła z wiejskiego wesela i nie wróciła do domu. Jak szukali jej po szpitalach, przytułkach, domach opieki i jak ślad po niej zaginął. Kiedy przestali już wierzyć, że się odnajdzie zobaczyli ten reportaż w telewizji. Terenia zaraz na drugi dzień pojechała do Warszawy, obecny adres matki zdobyła. Wysyłała listy, ale odpowiedzi żadnej nie było...

Irenka spuściła głowę wbijając wzrok w podłogę. Ściśnięte dłonie schowała do kieszeni zakietu. Nie mogła pokazać jak bardzo się boi, jak pocą jej ręce, jak drżą kolana. Karol patrzył na nią z niepokojem, choć sam nie czuł się najlepiej wśród tych obcych ludzi, którzy tak bardzo pragnęli by teściowa została z nimi na zawsze.

- Pamiętasz mamę? Pamiętasz? - pytali kolejno wierząc, że każda następna opowieść, każde następne wspomnienie będzie tym, które uczyni Weronikę ich matką.

Nagle z podwórka dał się słyszeć stukot kół

- Ojciec wraca - Teresa wyjrzała przez okno.

- Ojciec? - Weronika splotła ręce na piersi - On żyje?

- Żyje - Teresa odpowiedziała smutno - ale tak jakby nie żył. Odkąd został sam włączy się z tym swoim żelastwem, w domu wysiedzieć nie może.

- Złom zbiera?

- A zbiera, zbiera. Ale nie z biedy, bo z głodu nie umiera - Teresa tłumaczyła się jakoś dziwnie zawstydzona - taką żalność w sobie ma. Po łąkach łązi, polach, lasach. Szukać nie przestaje.

Weronika skuliła się w sobie, jakby słowa Tereni ją oskarżały, jakby to ona winna była tej samotności ich ojca, tej beznadziejności poszukiwań, tej niegasnącej rozpacz.

Żelazny wózek gdzieś stanął chyba, bo na podwórzu zaległa cisza. I zaraz potem dało się słyszeć szuranie zmęczonych nóg. Mężczyzna, który ukazał się w drzwiach zatrzymał się nagle zdziwiony. Spod zrosniętych krzaczystych brwi wyzierały szparki czarnych oczu. Omiótł wszystkich wnikliwym spojrzeniem jakby chcąc jak najszybciej rozszyfrować zagadkę niecodziennego spotkania. Zauważył obcych. Irenę, Karola, Werę...

- Sofija - zachrypiał zdumiony stawiając kilka kroków ku Weronice - Sofija - z trudnością klęknął u jej stop, wyciągnął ręce by ją objąć, by przywitać.

Wera zadrzała, coś w niej się poruszyło, coś zapłakało jej tkliwie w sercu jakby nagle na dnie starego kufra odnalazła zabawkę z dzieciństwa.

- Sofija, Sofija - mężczyzna szeptał raz po raz gładząc ją po rękach, a ona pozwalała na to by ją dotykał brudnymi rękoma, by nachylał się ku niej ocierając się połamami poplamionej marynarki.

Boże, dlaczego tak. Dlaczego jej w duszy tak śpiewa, dlaczego coś ją unosi w jakąś inną, dawno zapomnianą krainę, dlaczego mgła na oczach i ta pewność, że wszystko to już było, że się zdarzyło...

Pamięta jak siedziała w tej samej izbie na tym samym krześle pod oknem. Słońce przebijało się krwistymi blaskami przez oczka haftowanej firanki. Czowała zapach pelargonii stojących w otwartym oknie. Wciągnęła go całą piersią wraz z rześkim wieczornym powietrzem. Była potwornie zmęczona. Cały dzień ustawiali snopki na polu, a później kolacja, mycie dzieciaków i ogarnięcie całego tego domowego bałaganu. Antoni pozamykał jeszcze kury w kurniku, wydoił krowy, zmienił im ściółkę. Został ją więc już prawie śpiącą na tym krześle przy oknie. W

tym świetle zachodzącego dnia. Postawił na podłodze miskę z wodą.

- Toniu - zaśmiała się cicho - jakiś ty dobry.

Zanurzyła nogi w zimnej wodzie, przechyliła głowę na oparcie krzesła. Klęknął przy niej. Podwinął jej spódnicę. Skulonymi dłońmi nabierał wodę i polewał jej uda, łydki, kolana.

- Sofija - szeptał - jakaś ty piękna, jaka piękna...

Woda pieściła jej długie nogi a wzrok Antoniego pieścił jej twarz, szyję, wgłębienie między piersiami, nagie ramiona. Zapomniała o swoim zmęczeniu, o całym dniu w polu, w gospodarstwie i tej całej domowej krzątaninie. Widziała tylko czarne, wpatrzone w nią oczy i słyszała ten cudowny zaśpiew...

- Sofija - Antoni znów klęczał u jej stóp. Znów patrzył na nią tak jak wtedy, jakby się czas zatrzymał, jakby nie było niczego przedtem i niczego potem...

- Sofija zostań - ta prośba przerwała jej wspomnienie. Oderwała wzrok od mężczyzny, rozejrzała się dookoła.

Nagle jak w powiększonym zwierciadle zobaczyła odrapane ściany, ciasne pomieszczenie, podłogę z wypaczonymi deskami. I starego, nieogolonego zbieracza złomu o brudnych rękach i zniszczonym ubraniu. A później przeniosła wzrok na Irenę, Karola, na swój drogi kostium i modny kapelusz leżący na stole. Na samochód stojący przy furcie i na podwórko zavalone różnym śmieciem.

- Mamo już wiesz, już przypominałaś sobie - Terenia wpatrywała się w nią z radosną nadzieją.

- Nic nie pamiętam - pokręciła przecząco głową - zupełnie nic - skłamała. Wstała strzepując z siebie drżące męskie ręce.

- Wracajmy - wydobyła z siebie dziwnie chrypiący głos. Zagarnęła rękoma Irenę i Karola popychając ich lekko ku drzwiom.

- Mamo! - Terenia nie wierzyła, że tak może się to spotkanie skończyć. - Przecież tu jest twój dom!

- Mylisz się, tak łatwo można uwierzyć w swoje nadzieje, marzenia.

- A Budrys? Przecież nawet Budrys cię poznał - Terenia chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- Głupi pies - odpowiedziała Wera niegrzecznie tłumiąc w sobie dziwny żal. Przystępując przez próg obejrzała się. Antoni klęczał przy kuchennym krześle gładząc jego gładką powierzchnię. Po jego twarzy jasną smugą spływały łzy.

- Sofija - szeptał jakby ona tam jeszcze była, jakby siedziała, jakby nigdy stąd nie odeszła.

Znów obudziła się około północy. Od tamtej wizyty u Szoltysiaków zdarzało się jej to każdej nocy. Budził ją wciąż ten sam sen. Stary mężczyzna klęczał po drugiej stronie wiszącego mostu. W dole znajdowała się przepaść, po niebie płynęły białe chmury wyglądające jak skłębione owieczki. Czasem jakiś obłok opadał miękko zasłaniając na chwilę samotną postać. Próbowwała zrobić krok, oprzeć się o sznurkową barierkę. Potworny strach paraliżował jej ruchy. Tęskny głos nawoływał i ciągnął ku sobie jak niewidzialne pajęczce nici.

- Sofija, Sofija... Serce jej pękało od tej rzewności, od tej tkliwości, od tej nieustającej wiary, że się go usłyszy...

- Idę - szeptała nieruchomymi wargami - idę... Ale po kilku krokach most się zrywał a ona wpadała w przepaść. Wtedy budziła się zrana potem z tym swoim „idę” na ustach...

Dziś było znów tak samo. Zerwała się z łóżka oddychając ciężko. Jak dawniej potrzebowała czasu, by sobie przypomnieć, gdzie jest. I tak jak dawniej pokój wydał się jej nieznanym, obcym... Tamto miejsce, tamten dom stanął jej przed oczami. Pamiętała każdy szczegół, każde ustawienie mebli, kolor ścian i wzór na firance. Codziennie przypominała sobie twarze dzieci sprzed kilkunastu lat i łączyła je z tymi, które widziała ostatnio. Wpasowywała je w całość jak części układanki, wypełniała nimi coraz większą przestrzeń swojej pamięci. Powracały lata dzieciństwa, młodości. Wspólnych z mężem spędzonych chwil. Dobrze im było razem ze sobą, szczęśliwie... Więc dlaczego wtedy odeszła, dlaczego wyparła ze swojej pamięci te wszystkie lata, te wszystkie dobre dni...

Boże! Jak to wszystko trudno rozeznąć, jak trudno przebić się do najgłębszych pokładów przeszłości, jak trudno wydobyć z niej ten najważniejszy, najistotniejszy fragment. Może gdyby tam wtedy została, zamieszkała, porozmawiała z Antonim... Ale ona uciekła jak wystraszona mysz, zaniepokojona pierwszym od lat sygnałem, że coś w niej powraca, że coś się w niej budzi, odżywa. A może przelęknęła się utraty tego co ma, w co weszła jak w należną jej nagrodę po latach bezdomności i spania po dworcach.

Wtedy, gdy wracali wyboistą drogą do domu była pewna słuszności swej decyzji. Nie odzywała się całą drogę znów przypatrując się mijanym krajobrazom. Teraz widziała je już zupełnie inaczej. Jakby знаła każde drzewo, każdy krzaczek, każdy kwiatek przy drodze. Przy tamtej samotnej brzoźce całowali się z Tośkiem pierwszy raz. Toni obejmował ją czule i głaskał po jasnych rozpuszczonych włosach. To wtedy ją tak nazwał. Sofija. Tak sobie wymyślił, że tylko on tak będzie, że to będzie ich tajemny znak...

A do tego lasu chodzili z dziećmi na jagody. Terenia zamiast do kubeczka wkładała czarne, soczyste kulki do buzi aż czerowny sok płynął jej po brodzie.

- Tereska - wołała ze śmiechem - bo cię brzuszek rozboli.

- Ja tylko jedną, jedyniusieczką - odpowiadała mała z szelmowskim błyskiem w oczach...

A w tej rzeczce się pluskali. Wody było w niej niewiele, ledwo zakrywała wąskie koryto. Ale mogli się taplać do

woli, rozpryskiwać srebrzyste krople aż tworzyły się z nich małe, wielobarwne tęcze. Tu znaleźli przywiązanego do drzewa Budrysa. Przeżył pewnie tylko dzięki tej wodzie...

- Mamo, czemu milczysz? - Irenka zaglądała jej w oczy, ścisnęła ją mocno za rękę jakby bojąc się, że jej ucieknie, że ją zostawi. Jak tylko wsiedli do wozu język się jej rozwiązał i buzia się nie zamykała. Musiała pewnie pozbyć się tłumionych przez kilka godzin emocji.

- A w wakacje pojedziemy do Hiszpanii. Chcesz? Mamy trochę oszczędności. Już dawno planowaliśmy z Karolem zagraniczną podróż. Odpoczniesz, zobaczysz jak tam cudnie jest.

Kiwała głową na znak zgody. Ta jej Irenka tak bardzo się starała, tyle dla niej dobrego zrobiła. Wera pokochała ją z całego serca. I Karola i Matyldę także. Stali się jej bardzo bliscy. Z nimi powinna zostać do końca życia. A tamto? Antoni, Terenia? Pamiętała ich zupełnie innymi. Czy teraz umiałyby znaleźć sobie wśród nich miejsce? Czy chciałyby zamienić to dostanie, szczęśliwe życie na inne, nowe, pełne niespodzianek? Czy umiałyby się przyzwyczaić do ich mowy, strojów, biedy?

Za oknem dniało. Wśród gałęzi wysokich tuj rozpoczął się ptasi koncert. Weronika sięgnęła po szklanekę z wodą stojącą na nocnej szafce. Wypiła kilka łyków. Spojrzała na komodę, na zdjęcia swoich bliskich i na stosik listów w jednakowych żółtych kopertach. Terenia pisała nadal cierpliwie czekając na odpowiedź. Ale odpowiedzi nie było. Bo Wera tych listów nie czytała, nie otwierała ich nawet. Wciąż bała się tego, co w nich jeszcze może odnaleźć, czego się może więcej dowiedzieć. Wczoraj też przyszedł list. Weronika wstała, wzięła do ręki kopertę, spojrzała na nadawcę. Zrobiło się jej gorąco. Wczoraj tego nie zauważyła. Antoni Szoltyśiak. Wykaligrafowane okrągłe litery przypominające pismo dziecka. Rozerwała niecierpliwie kopertę poganiana jakąś dziwną pewnością, że odkryje następną tajemnicę. Nałożyła okulary.

- Wybaczyłem ci, już dawno ci wybaczyłem... - zaczęła czytać wolno jakby specjalnie opóźniając dalszy ciąg...  
- Staszek umarł w zeszłym roku....

Boże! Co ma znaczyć to wybaczyłem ci... i jaki znowu Staszek... I nagle jak oślepiające cięcie błyskawicy krótka migawka z przeszłości Wesele u Bronków. Wypiła już wtedy kilka kieliszków wódki. Wszystko ją bawiło, wszystko śmieszyło. Toniek patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem zagarniając ją w tańcach tylko dla siebie. Uciekała mu. Żartowała, że nie jest jedynym mężczyzną na sali, że powinien pozwolić jej bawić się z każdym.  
- Nie ufasz mi? - pytała, gdy chodził za nią jak cień.

Denerwowała się tym brakiem swobody. Uśmiechała się więc zza jego ramienia do wszystkich mężczyzn w nadziei, że któryś ją „odbije”, że ją poprosi. Staszek był tym który ją uwolnił od ramion Tońka. Pociągnął ją za rękę nie zważając na protesty męża. Spodobała się jej jego zaborczość. Jego silne dłonie obejmujące jej plecy i twarz blisko jej twarzy. Wiedziała, że Antoni ją obserwuje. Poddawała się więc rytmowi muzyki kołysząc ponętnie biodrami, pozwalając swoim włosom rozsypać się swobodnie na kształtne piersi. Godziła się na zbytnią bliskość Staszka, na jego gorący oddech na karku, na ręce zbyt namiętnie wędrujące wzdłuż nagich ramion, na słowa przepelnione pożądaniem. Mogła to przerwać, mogła ze śmiechem zakończyć całą tę zabawę. Ale wtedy kątem oka zobaczyła jak Antoni siada przy starym Walczaku z butelką wina. Miała więc teraz chwilę dla siebie, mogła poszaleć, mogła dać upust swojej energii. Staszek też chyba zauważył brak męzowskich oczu, bo przytulił się do niej jakoś tak inaczej, poważniej. Poczula jak przez jej ciało przebiega prąd, jak w każdą komórkę jej ciała wpływa jakieś nieznanne ciepło. Ktoś zgasił światło. Staszek poprowadził ją ku wyjściu. W stodole pocałował ją w usta. Ostro zapach siana odurzył dodatkowo jej zmysły. Odwzajemniła pocałunek czując jakąś nieznaną dotąd chęć oddania się zaraz, natychmiast. Leżąc na sianie wyciągnęła do niego ręce jakby był jej pierwszym, jedynym...

- Sofija - usłyszała nagle na głowę - Sofija...

Dlatego odeszła, dlatego. Nie mogła później spojrzeć Antoniemu w oczy. To jego kochała naprawdę, z nim związała swoje życie, jemu przysięgała przed Bogiem. Teraz nie mogła już dłużej dzielić z nim domu i łoża. Zawiodła go i ich miłość. Staszek dla niej nic nie znaczył. Zupełnie nic. Ot, głupia, zapomniała się tylko... Zapomniała się tak jak później zapomniała się jej pamięć. Widać ona, ta jej pamięć wiedziała lepiej, że zapomnienie będzie mniej boleć.

Wera upuściła list. Przypomniana na nowo wina opadła ponownie ciężarem na jej ramionach. Przygarbiła się więc, jakby nagle przybyło jej lat. Sięgnęła po sukienkę wiszącą na krześle. Zaczęła ubierać się wolno pozwalając myślom szukać jakiegoś rozwiązania. Ale one, myśli, rozbiegły się po jej głowie jak rozszalałe burzą morskie bałwany. Boże! Jak to wszystko ogarnąć, jak pojąć, jak ułożyć w sobie! A może by tak...

Podeszła do szafy. Z lekkim skrzypnięciem otworzyły się mahoniowe drzwi. Wyciągnęła podróżną torbę. Włożyła do niej kilka niezbędnych rzeczy, zapasowe buty, parasol. Bez smutku popatrzyła na wiszące równiutko modne kostiumy, sukienki, spódnice. Dotknęła delikatnie runda ulubionego kapelusza. Podeszła do komody. Wyjęła z ramek zdjęcia Irenki, Karola, Matyldy. Położyła je na ubraniach. Zasunęła suwak torby. Pierwsze promienie słońca wkradły się do pokoju przez metalowe oczka ogrodzeniowej siatki, gdy opuszczała dom. Swoje bezpieczne schronisko ostatnich lat.



Szła chodnikiem cicho stawiając kroki. Gdyby Irenka albo Matylda się teraz obudziły, gdyby ją zawołały nie miałyby siły ani odwagi odejść. Musiała więc zachować spokój, nie mogła oglądać się za siebie, nie mogła pozwolić sobie na płacz. O, już widać budynki dworca!

- Ciekawe gdzie dziś powędrował Bolek i co uda mu się zdobyć na śniadanie - pomyślała. Wzięła ze sobą kilka groszy. Zrobi im wielką ucztę. To się Ruda Staśka zdziwi, to się zdziwi jak jej swoją historię opowie. A Berenika popatrzy pewnie na nią swoimi uważnymi oczami a potem doradzi, co dalej...

Weronika uśmiechnęła się do siebie, mocniej zacisnęła rękę na uchwycie torby. Uniosła głowę do góry. Słońce odbiło się dziwnym blaskiem od krzyża kościelnej wieży.

- Będzie dobrze - szepnęła do siebie przyspieszając kroku. Gdzieś całkiem niedaleko dał się słyszeć gwizd nadjeżdżającego pociągu.

### Jak kawalki szkła

Dzień trwał w pełni. Przez okno do pokoju zaglądało słońce pozwalając promieniom tańczyć na brązowej politurze zabytkowej komody. Figlarnie patrzyło na twarze osób uśmiechających się ze zdjęć ustawionych pod lustrem. Adrianna siedziała na fotelu. Przez ostatnie pięć lat było to jej ulubione miejsce. Potrafiła tak siedzieć godzinami. I myśleć i wspominać i przywoływać do serca kochane osoby. Kiedy Magda wracała ze szkoły i zastawała ją w takiej nieobecnej pozycji, wpadała w panikę. Rozcierała jej zdrętwiałe od bezruchu ręce, ogrzewała je swoimi pocałunkami.

- Mamuś - szeptała - znowu płakałaś.

Tak, płakała. Sama nie wiedziała skąd miała ciągle zapas tych słonych kropli gorzkości, bólu, żalu, tęsknoty... Zegar pokazywał godzinę czternastą. Zawsze o tej porze Magda wracała ze szkoły. Wpadała z hałasem do mieszkania, rzucała plecak w przedpokoju i z głośnym: „mamo - jeść!” wbiegała do kuchni. Ada lubiła tę jej niecierpliwość i ten głód, który trzeba było zaraz, natychmiast zaspokoić. Dziś w garnkach nie gotowało się nic, nie wydobywał się z nich żaden smakowity zapach. Córnica nie wpadnie z hałasem do domu, nie rzuci plecaka w przedpokoju i nie zawoła „mamo-jeść!”.

Łzy ciurkiem popłynęły po policzkach Ady. Musi się czymś zająć, bo znów kilka godzin spędzi nad użalaniem się nad sobą. Otworzyła szufladę. Wyjęła flanelową ściereczkę. Zetrze kurze. Na komodzie zawsze najczęściej zbiera się brudu. O, właśnie w słońcu widać jak tańczą maleńkie drobinki, jak układają się w jasną smugę łączącą blat szafki z szybą. Przez okno widać dom sąsiada. Pewnie ją obserwuje zza firanki. Widać cień jego sylwetki falujący wzdłuż okiennej ramy. Trzeba opuścić roletę, by skryć się przed jego wzrokiem. No i słońce nie będzie tak mocno odbijać się od oszklonych fotografii. Adrianna delikatnie podniosła jedną z nich. Pociągnęła palcem po śniadym czole, policzkach, konturach ust. Zuzanna. Ich Zuzanna.

Pamięta jak pierwszy raz zobaczyła ją na sopockim molo. Szła właśnie z Zygmuntem na popołudniowy spacer. Wlekli się noga za nogą znudzeni upałem i monotonnością kolejnych urlopowych dni. Nagle usłyszała śmiech. Przystanąła przytrzymując Zygmunta za ramię. Przy barierce stało kilka osób. Adrianna nie mogła oderwać wzroku od kobiety, która odrzucając do tyłu długie kasztanowe włosy śmiała się najgłośniej. Nieznajoma musiała wyczuć jej spojrzenie, bo odwróciła ku niej głowę i podniosła rękę w geście powitania. Ada speszona swoją nieukrywaną ciekawością zaczerwieniła się po sam czubek związanych w kitkę włosów. Kobieta zrobiła w jej kierunku kilka kroków. Może myślała, że się znają? Że to takie przypadkowe spotkanie po latach? Adrianna oblizwała suche usta. Zacisnęła dłonie wpijając sobie paznokcie w delikatną skórę. Zygmunt zaraz jednak objął ją ramieniem i pociągnął w drugą stronę. Śmiech nieznajomej cichł w miarę jak się oddalali. Ale w sercu Adrianny już sobie znalazł stałe miejsce. Już miał jej towarzyszyć na zawsze. Jak usłyszana gdzieś melodia, która chodzi za człowiekiem jak cień i nijak nie chce się odkleić.

Adrianna odstawiła złoconą ramkę. Twarz przyjaciółki rozmyły łzy, które znów zaszklily się w jej oczach. Potrząsnęła głową chcąc oddalić od siebie wspomnienia. Znów jednak powrócił do niej tamten śmiech. Tak śmiała się także Magda. Odrzucała do tyłu swoje rude włosy, mrużyła oczy i wymachiwała rękami jak pajac. Zuzanna nieraz chwytala ją za te fruwające ręce i włączała się w dziki akt radości. Ich prawie jednakowe włosy splatały się z sobą tworząc złocistą firankę. Rozpoczynał się indiański taniec połączony z dziwnymi okrzykami i wymyślonymi przyspiewkami.

Adrianna patrzyła zazdrośnie na tę intymną bliskość. Nie miała daru do tańca, nie umiała tak pięknie śpiewać jak Zuzanna. Nigdy tak nie umiała rozbawić córki. Kiedy Zuzanna odeszła Magda posmutniała. Często zamykała się w swoim pokoju i siedziała tam w zupełnej ciszy. Ada zaglądała do niej zaniepokojona. Przynosiła herbatę, ciasteczka. Przysiadala na kanapie z chęcią rozmowy. Ale Magda wypraszała ją delikatnie.

- Uczę się mamu, nie przeszkadzaj proszę...

Wycofywała się, więc cicho zagłębiając się znów w swoim fotelu. Umiała odczytać tęsknotę córki. Wiedziała, co oznaczają oczy bez wyrazu udające skupienie nad książką. Wiedziała, co oznacza ta dobrowolna samotność. Sama nie umiała sobie z nią poradzić. Ale powinna umieć pomóc córce. Czasem słyszała jak Magda płacze w nocy. Wyobrażała sobie ją zwiniętą w kulkę, okrytą szczelnie kołdrą i gryzącą palce. Słyszała przytłumione rozpaczliwe łkanie, widziała ślady ran na rękach następnego dnia. Powinna wtedy pójść do niej, przytulić, złagodzić ból. Ale

jak uciszyć ból w kimś gdy samemu cierpi się tak bardzo. Więc udawała, że nie wie, że się nie domyśla, że nie słyszy. To przecież ona Adrianna potrzebowała litości i współczucia. To przecież ona Adrianna miała prawo do jakiegoś zadośćuczynienia. To jej brak było Magdy „mamo znów płaczesz”.

Teraz Ada wiedziała, że to było złe, że to było nie w porządku względem córki tak udawać, że się nic nie stało, że jej to nie dotyczy. Magda nie mogła wiedzieć, że cierpienie Ady było większe. Bardziej dotkliwie. Choćby dlatego, że poprzedzała je beztroška i wiara w wieczne szczęście. Takie, jakie zaczęło się tam w Sopocie.

Ada przysunęła do oczu następne zdjęcie. Na tle morskich fal obie z Zuzanną wyglądały jak rusalki wychodzące z wody. Zygmunt świetnie uchwycił ich rozświetlone twarze, zgrabne, opalone figury i ręce złączone w uścisku. Tak powinno być zawsze. Ta radość i nadzieja, że co raz się zaczyna nigdy się nie skończy. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że rozbitego szkła już nigdy się nie da tak samo posklejać. Że pozostaną na nim ślady i rysy. I że prześwitujące przez nie światło już się będzie załamywać inaczej.

Zuzannę spotkali następnego dnia w knajpce w której chcieli się zabawić. W jasnej krótkiej sukience wyglądała jak dziewczynka. Tańczyła sama w rytm bluesa granego przez jakiś nieznany zespół. Poddawała się muzyce wyginając miękko biodra i kreśląc obcasami delikatne wzory na terakotowej posadzce. Adrianna natychmiast poczuła taką samą potrzebę ruchu. Zarzuciła ręce na szyi Zygmunta i poprowadziła go na środek sali. Wzdłuż kręgosłupa przebiegło ją dziwne drżenie. Oblała się rumieńcem. Zuzanna musiała to zauważyć. Uśmiechała się zalotnie pewna swego wdzięku i czaru. Zbliżała się coraz bliżej wpatrując się w nich bez skrępowania. Adrianna zawstydzona opuściła powieki. Nagle poczuła ból. Krzyknęła. Cienki obcas wbił się jej w stopę zostawiając ciemny krwawiący ślad.

- Wybacz - Zuzanna zajrzała jej głęboko w oczy.

- Nic się nie stało - odpowiedziała nie czując nagle bólu. Niepokojące ciepło rozlało się jej po całym ciele.

- Szampana na zgodę? - Zygmunt pospieszył z ratunkiem.

Usiedli przy stoliku. Podnieśli toast. Rozwiązali języki. Tak rozpoczęła się ich wspólna przyjaźń. Bo i Zygmunt zwykle sceptycznie nawiązujący nowe znajomości tym razem uległ swobodzie i łatwości rozmowy Zuzanny. Od tego wieczoru spotykali się codziennie. Ona i Zygmunt nagle odmłodzieli napełnieni nieznaną energią. Oboje poddawali się urokowi Zuzanny i jej pomysłom na spędzanie urlopowego czasu. Łazili razem po sklepach, straganach, ulicznych stoiskach. Kupowali pamiątki i cieszyli się, że sprawia im to przyjemność. Zuzanna знаła wszystkie restauracje, smażalnie, knajpki. Wiedziała, gdzie można dobrze i tanio zjeść, gdzie można się dobrze zabawić. Nudne dotychczas wakacje zamieniły się w intensywnie przeżywane dni. Dziwili się, że wcześniej nie dostrzegali cudnych nadmorskich krajobrazów, że nie potrafili z radością wskakiwać do wody, że nie umieli wchłaniać cudownego morskiego powietrza pełną piersią. To Zuzanna nauczyła ich radości życia. Zuzanna...

Telefon rozzwonił się hałaśliwie. Ustawiła go na największą skalę, by mogła go usłyszeć nawet w nocy. Może to Magda? Tak to na pewno ona. Jest, odezwała się, tęskni. Zaraz jej wszystko wytłumaczy, opowie, przeprosi. Zaraz wykrzyczy jej w słuchawkę jak bardzo ją kocha, jak zawsze ją kochała. I poprosi, wybłaga, żeby wróciła, żeby zrozumiała.

- Tak? - wyszeptała przytrzymując słuchawkę obiema rękami. Po drugiej stronie słyhać było tylko przerażająca ciszę.

- Magda? - podniosła głos - Magda wróć! - krzyknęła histerycznie.

Długi sygnał zaświdrował w jej głowie nieprzyjemnym echem. Oparła się biodrem o komodę. Wiedziona dziwnym instynktem podniosła roletę. Firanka w oknie naprzeciwko falowała mocno a cień stojącej za nią postaci wyraźniej zaznaczał swój kontur na jej tle.

- Ty cholerny zbrojeńcu - krzyknęła otwierając okno - Zaraz zadzwonię na Policję!

Postać za firanką rozplynęła się. Adrianna bezwładnie usiadła na fotel. Schowała twarz w dłoniach i rozplakała się głośno. Zbyt mocno wciśnięte do oczu dłonie wywołały pod powiekami ciemny obraz z tysiącami jasnych smug i światel. Zelżyła uścisk. Ale migotanie nie ustało. Wrażenie kolorowych lampek spotęgowało jeszcze ponowne wspomnienie.

Tamto Boże Narodzenie. Ustrojony w lampiony dom, choinki, w oknach świece. I Zuzanna stojąca na progu ich domu jak Anioł przybywający z dobrą nowiną. Obladowana prezentami, obsypana śniegiem, pewna swej obdarowującej ich radości. Nie wierzyli, że jest, że chce z nimi być, że chce zostać. Zadomowiła się u nich szybko. Znalazła pracę, zajęła jeden pokój, pojechała po swoje rzeczy. Nie pytali o nic, nie chcieli nic wiedzieć ponad to, że im w trójkę jest tak dobrze. W domu zapachniało perfumami, w łazience pojawiły się kosmetyki i koronkowa bielizna susząca się na sznurku. Ada taką widziała tylko w reklamach. Zygmunt wodził za Zuzanną zachwyconym wzrokiem, ale Adrianna kpiła sobie z jego spojrzeń. Wiedziała, że Zuza kocha tylko ją. Już wtedy to wiedziała. Nie myślała jednak, że miłością można się dzielić, że tak podzielona może ranić i boleć.

Adrianna wstała z trudnością. Zesztywniałe nogi trzeba najpierw rozruszać, by móc powlec się do kuchni i wstawić wodę na herbatę. Co za nieznośne ssanie w żołądku. Powinna coś zjeść, ale w lodówce pusto. Myśl o wyprawie do sklepu przestraszyła ją. Przedwczoraj ten z naprzeciwka łąził za nią między półkami i wpatrywał się beczelnie w

jej twarz. Śledził jej każdy ruch i tak lawirował ze swoim koszykiem, by stanąć za nią w kolejce do kasy. Czują jego oddech na szyi, nie mogła poradzić sobie z liczeniem pieniędzy. Próbował jej pomóc włożyć towar do torby, ale odsunęła niecierpliwie jego ręce. Wyskoczyła ze sklepu jak oparzona nie reagując na to, że ją woła. Znał jej imię i to wyprowadziło ją z równowagi jeszcze bardziej. Kiedy spocona i ze zmierzwionymi włosami stanęła później przy swoim oknie on znów patrzył na nią zza firanki. Czują jego spojrzenie mimo tak dużej odległości.

Nie! Nie da mu ponownej okazji do śledzenia. Woli być głodna. Herbata powinna oszukać trochę łaknienie. Chyba, że jest jeszcze jakiś batonik w kryjówce. Co prawda to kryjówka Magdy, ale córka na pewno jej wybaczy. Jest! Na dnie blaszanego pudełka błyszczą pozłotko ulubionej przez Magdę czekoladki. Kiedy miała dwa tygodnie Ada dała jej polizać taki batonik pierwszy raz. Magda westchnęła wtedy z ogromną błogością. Śmieli się głośno widząc jej zabawną minkę. Wszystko ich zresztą w niej cieszyło. Każdy gest, uśmiech, pierwsze nieartykułowane dźwięki. Szaleli po prostu z radości gdy przyszła na świat. Taka mała drobinka, taki cud ofiarowany im przez życie. Nie, nie przez życie. Przez Zuzannę. To ona wymyśliła, że im pomoże, wymyśli sposób, aby w ich domu rozbrzmiewał dziecięcy śmiech...

- Nie chcę tak - Adrianna perswadowała przyjaciółce bez przekonania. Była zazdrosna. Nie wyobrażała sobie, by jakiś mężczyzna wszedł między ich uczucie, między to co pomiędzy nimi już trwało jakiś czas.

- To tylko biologia - przekonywała ją Zuzanna - faceta wybiorę sama, nie powiem ci, z kim...  
Wahała się, lecz w końcu dała swoje przyzwolenie. Zapaliła się nawet do tego planu. Tym bardziej, że i Zygmunt poparł ten pomysł. Zaakceptowali więc jej ciężę i jakoś w niej współuczestniczyli. Patrzyli z podziwem i niepokojem na powiększający z miesiąca na miesiąc brzuch Zuzanny pozwalając, żeby ich miłość do ukrytego w nim dziecka rosła. Zuzanna piękniała, choć figura jej straciła dawną smukłość i lekkość. Było w niej coś, co przyciągało wzrok, inne zachowanie, sposób mówienia, poruszania. Budziła się w niej macierzyńskość i Arianna miała chwile wątplenia, czy wszystko się uda, czy gdy dziecko pojawi się na świecie przyjaciółka nie zechce go dla siebie.

Gdy Magda się urodziła podzielili swoją miłość na równe trzy części. Biegali wokół niej pielęgowali, kąpali, przewijali, chodzili na spacer. Tylko karmić małą mogła jedynie Zuzanna. Tego prawa nie mógł jej nikt odebrać. Śpiewała małej tuląc ją do nabrzmiętej mlekiem piersi i przemycając większe pokłady miłości i czułości. Umiała się jednak usuwać w cień, gdy pora karmienia mijała. Byli jej za to ogromnie wdzięczni. Coraz częściej przejmowali na siebie rodzicielskie obowiązki. Coraz częściej Zuzanna była tą trzecią, ciocią, kimś, kto nie wchodził im w drogę. Dziękowali jej za to, że tak to układa, że potrafi dotrzymać obietnicy, że jest wciąż dla nich upragnionym Aniołem.

Pukanie do drzwi wyrwało Adriannę z zadumy. Kilka cichych stuknięć, ledwie słyszalnych. Mimo to podskoczyła z wrażenia. Magda? Ręce spocły się jej momentalnie. Serce zaczęło łomotać przyspieszonym rytmem.

- Proszę otworzyć - za drzwiami dobiegł ją znany już głos - To ja sąsiad z naprzeciwka. Zgubiła pani apaszkę.

Apaszkę? Co on sobie myśli. Że da się nabrać na apaszkę jak te owieczki z bajki na umazane mąką wilcze łapy?

- Niech się pani nie boi, nie jadam ludzi - mężczyzna roześmiał się jakby odczytując jej myśli.

- Proszę stąd odejść - zawołała przerażona.

- Przepraszam że wystraszyłem panią. Kładę chustkę i uciekam.

Usłyszała oddalające się kroki. Uchyliła drzwi. Na wycieraczkę leżała jej apaszka. Schyliła się po nią. Wtedy zauważyła, przykryty nią koszyk. Wyglądał jak wielkanocna święconka. Zniosła go do pokoju, postawiła na stole. Zajrzała do środka. Po pokoju rozszedł się zapach świeżych bułek i kiełbasy. Od razu zachciało się jeść, poczuła jak jest potwornie głodna. Zanurzyła zęby w chrupiącym pieczywie. Tamten za swoją firanką pewnie się uśmiechał drwiąco, ale było to jej zupełnie obojętne. Nie mogła pogardzić taką uczcią, nie mogła takiego daru odrzucić. Wzbierająca się w ustach ślina napełniła ją dziwną radością. - Życie potrafi być piękne, nawet pośród największego smutku - pomyślała sięgając po kiełbasę. Teraz to stało się najważniejsze. Żeby się najeść do syta, żeby już tak w brzuchu nie burczało...

Ranek zastał ją w fotelu. Słońce nieśmiało przedzierało się przez opuszczoną roletę, ale i tak dawało jasność i nadzieję na wspaniały, ciepły dzień. Rozejrzała się wokół siebie. Zasnęła najedzona i wtulona w wełniany koc pierwszy raz od wielu dni twardo i bez lęku. Nie obudził ją nawet migotliwy błysk telewizyjnego ekranu, który zapomniała wyłączyć w nocy. Przeciągnęła się. Bolały ją wszystkie kości. Ale w głowie zrobiło się jaśniej, spokojniej.

Może w końcu uda się jej przezwyciężyć ten smutek i spróbuje poukładać sobie na nowo życie. Musi sobie dziś coś zaplanować. Zająć się pracą. To najlepszy sposób na wychodzenie z dołka. A później pójdzie do sklepu i do tego z naprzeciwka. Podziękuje. Tak wypada. I odda pieniądze za wczoraj. Niech nie myśli, że będzie go objadać. Nie jest niedołączną nieszczęśliwą babą, która sobie nie umie poradzić z problemami. Weźmie się w garść. Zacznie szukać. W końcu to ona puściła Magdę do Zuzanny i Zygmunta na wakacje. Powinna przewidzieć, że prawda może wyjść na jaw. Że to się kiedyś musi stać. Nie mogła Magdzie bezustannie zabraniać kontaktu z nimi. Tym bardziej, że o to zabiegali przez kilka ostatnich lat.

- To znowu było w skrzynce - Magda przynajmniej raz w miesiącu kładła na stole koperty. Niektóre były



adresowane do niej, inne do Magdy. Miały ten sam kolor i te same okrągłe litery.

- Mamuś, ciocia Zuza i tata pytają czy mogę przyjechać do nich na święta - informowała z nadzieją w głosie.
- Mamuś, ciocia Zuzia i tata chcą mi urządzić urodziny - cieszyła się, choć знаła przeczącą odpowiedź.
- Mamo, ciocia Zuzia i tata zapraszają mnie na wakacje - mówiła w końcu bez entuzjazmu nie licząc na jej zgodę.

Adrianna była nieprzejednana. Żyły z córką w spokoju przez kilka lat. Nie trzeba było tego zmieniać. Nie trzeba było tego burzyć. Nie warto było odnawiać w pamięci tego, co się już jakoś uspokoiło, wyciszyło. Bo jeśli się zahaczyło pamięcią o tamten dzień serce stawało na nowo przerażone. Wciąż bolało tak samo, a nawet bardziej teraz niż wtedy, gdy niespodziewanie wróciła prędeż do domu z pracy. Otwierała właśnie drzwi, gdy usłyszała śmiech. To nie był normalny śmiech ludzi rozbawionych wesołą rozmową. To był śmiech kochanków rozprawiających o miłości, drażniących się i darzących czułością. Musiała wejść do sypialni, musiała ich tam razem zobaczyć. To co ujrzała wypłoszyło ją zaraz z pokoju. Wyгнаło na schody, chodnik, drogę za płotem. Zmęczona biegiem zatrzymała się przy drzewie, przytuliła twarz do chropowatej kory. Kiedy Zygmunt pojawił się obok niej wstrząsały ją zimne dreszcze. Bała się tego co powie, więc sama zaatakowała.

- Dawno już tak? Dawno sypiacie ze sobą ?
- Pokochałem ją jeszcze w Sopocie - wyznał szczerze a ją te słowa zakłuły niczym niewidzialna igła.
- Wiedziałeś o niej i o mnie? - nie mogła uwierzyć w jego słowa.
- Wiedziałem - odpowiedział cicho.
- I mimo to? - jej serce nie wiedziało jak taką prawdę przyjąć.
- Zuzanny nie można nie kochać, przecież sama to wiesz - próbował się usprawiedliwić.
- Ona była moja, tylko moja - załkała na nowo.
- A ja? Gdzie dla mnie miało być miejsce?

Nie pomyślała o tym. Nie widziała związku między akceptacją Zygmunta na wprowadzanie się Zuzanny do ich domu a tym, że może ich łączyć uczucie. To ją przerastało. Ta wiedza, którą nagle musiała przyjąć.

- Co teraz będzie? - zaszlochała wczepiając się paznokciami w korę drzewa.
- Wyjedziemy jak tylko wróci Magda. Zabierzemy ją ze sobą.
- Magdę? Ze sobą? - wyjęczała nic nie rozumiejąc - Magda jest moja córką. Zuzanna mi obiecała.
- Magda jest nasza - Zuzanna stanęła na progu domu - moja i Zygmunta.
- To niemożliwe - szeptała zbielełymi wargami - to niemożliwe - powtarzała uparcie. Oszukali ją? Oszukiwali przez wszystkie te lata? A ona głupia niczego nie podejrzewała, nic nie odkryła?
- Nie oddam Magdy - krzyknęła im prosto w twarz. - Nie możecie zabrać mi wszystkiego. Lepiej mnie zabijcie, albo sama to zrobię - wrzeszczała waląc głową o pień drzewa. Zygmunt próbował oderwać ją od niego, przyłożył chusteczkę do zakrwawionego czoła.
- Wszystko się jakoś ułoży - perswadował nie patrząc jej w oczy - będzie dobrze - powtarzał tuląc ją do siebie choć się wyrywała jak niegrzeczne dziecko.

Zuzanna odwróciła się do nich plecami i znikła bez słowa za drzwiami domu. Widziała ją wtedy po raz ostatni. Magda jednak została. Gdy wróciła ze szkoły Zuzanny i Zygmunta już nie było. Tłumaczyła córce, że lepsza praca, że większe miasto, że musieli wyjechać... Ze kiedyś ich odwiedzi. To kiedyś miało rozciągnąć się na lata. W końcu jednak uległa, pozwoliła, sama odprowadziła na pociąg... Tęskniła i czekała na powrót. Ale zamiast niej pojawił się u niej Zygmunt. Stał w progu bez zapowiedzi i uprzedzenia.

- Magda uciekła - poinformował bez powitania.
- Jak to uciekła? - przestraszyła się przeczuwając najgorsze.
- Wyskoczyła oknem. W nocy. Myślałem że wróciła do ciebie. Muszę z nią porozmawiać.
- Nie ma jej tutaj - patrzyła z niepokojem w jego oczy.

Zygmunt stał przed nią z bezradnie opuszczonymi rękami. Bardzo się zmienił. Postarzał. Przybyło mu zmarszczek na czole i policzki zapadły mu się potęgując szczupłość twarzy. Wzbudził w niej chęć natychmiastowej pomocy, ratunku, bliskości. Uniosła dłoń, pogłaskała go po ramieniu. Chwycił jej rękę, przysunął do ust.

- Chciałbym wrócić - wyszeptał niespodziewanie zapominając co go tu naprawdę sprowadza. Zaskoczył ją tą prośbą.
- A Zuzanna? - musiała zadać to pytanie.
- Zuzanna ma kogoś - wyrzucił z siebie dotykając delikatnie jej włosów. Chyba źle ocenił jej dotyk. Może pomyślał, że to jest jakieś przyzwolenie, jakaś niema zgoda, wybaczenie.
- To dlatego chcesz wrócić? - odsunęła się nie zwracając uwagi na jego zmieszanie - To dlatego Magda uciekła? - zaczęła pojmować złożoność sytuacji.
- Zobaczyła je pod prysznicem. Wyzwała Zuzannę od najgorszych - z trudem wydobył z siebie to wyznanie.
- A ona? Zuzanna?
- Że i ty też tak. Że właśnie dlatego... Że my wszyscy...
- O Boże! Jak mogłeś na to pozwolić!

- Nie chciała mnie słuchać. Zamknęła się w pokoju. W nocy uciekła.
- Czemu nie przyjechała do mnie?
- Wie, że nie jesteś jej matką.
- Jestem - po raz tysięczny udowadniała sobie tę prawdę - jestem - przekonywała i siebie i jego.
- Dla niej już nie - Zygmunt bezlitośnie kruszył w niej tę pewność. Nie mogła pozwolić by rozbił ostatni kawałek jej serca. Bo jeśli jej się nie uda go skleić? Jeśli Magda nie wróci?
- Odejdź Zygmunt - otworzyła drzwi - wszystko popsuliście - wyszeptwała beznamiętnie.
- Pomogę ci ją odnaleźć - próbował ją przekonać.
- Zadzwoń, gdy wróci. Jeśli wróci - odwróciła się, by nie patrzeć jak wychodzi i jak zamyka za sobą drzwi.

Fotografie. Zostały jej tylko fotografie. Ile mogły pomieścić w sobie wspomnień, ile poruszyć drgnień serca i myśli. Magda nie dawała o sobie żadnego znaku życia. Zygmunt i Zuzanna wydzwaniali kilka razy dziennie a Ada wciąż żyła nadzieją, że za godzinę, za chwilę będzie mogła im przekazać radosną wiadomość. Obeszła wszystkie jej koleżanki, poruszyła znajomych i nieznanym, dała znać na Policję, wywiesiła ogłoszenia gdzie się tylko dało. Nic, cisza. Żadnego śladu, żadnej nici prowadzącej do wyjaśnienia, do chwycenia się jakiegось nadziei. Kilka dni a wydawać by się mogło, że to cała wieczność. Że już się więcej zrobić nie da.

- Magda wróć! - Ada stanęła w oknie krzycząc bezgłośnie w pusta przestrzeń.

Sąsiad od pewnego czasu przestał ją podglądać. Może gdzieś wyjechał, bo nie widać go było ani w ogródku ani na ulicy. Nie pojawiał się także w sklepie choć Ada rozglądała się, by go odnaleźć. Miała u niego jeszcze dług wdzięczności za tamten koszyk z prowiantem, ale zapukać do jego domu wciąż jakoś nie śmiała. Może kiedyś przy okazji. Albo jak zobaczy go w oknie. O! Chyba właśnie jest! Ada wyteżyła wzrok w kierunku domu stojącego naprzeciwko. Firanka poruszyła się chowając za sobą cień. Tylko że to był inny cień. O wiele niższy i cieńszy niż tamten, który widywała dotychczas.

Ada przytknęła czoło do szyby. Gładkie zimno zmieszało się nagle z falą ciepła podchodzącego z piersi do głowy. To nie mogło być przywidzenie, to nie mogła być fatamorgana, życzenie oszalałej z tęsknoty duszy. Tam kilkanaście metrów dalej mignęła jej znajoma postać. Wybiegła z domu tak jak stała. Na boso nogi wciągnęła tylko jakieś domowe klapki i nie dbając o rozwiane włosy i rozmazany łzami makijaż popędziła w kierunku tajemniczego domu

- Któż się tak dobija? - rozpoznała głos sąsiada, a później zobaczyła go w otwartych drzwiach.

- Oddaj mi moje dziecko - krzyknęła mu prosto w twarz, okładając go zaciśniętymi w pięści rękami.

- Proszę się uspokoić - sąsiad chwycił ją za przeguby dłoni - wszystko pani wyjaśnię.

Magda stała na schodach wewnątrz domu. Patrzyła na nią wystraszona obgryzając paznokcie. Znów będzie miała rany na palcach. Może już ma, bo obie ręce zawinięte są bandażem. Boże, co on jej zrobił? Dlaczego skrzywdził jej dziecko.

- Musimy porozmawiać - sąsiad gestem pokazał Magdzie by weszła na górę. Adę poprowadził do salonu.

- Magda chciała odebrać sobie życie - powiedział cicho podając jej szklankę z wodą.

- Jak, kiedy, dlaczego? - wybuchła ponownie wyładowując na nim swoją agresję.

- Znalazłem ją przy swojej furcie. Bardzo krwawiła.

- Przecież byłam tak blisko - Ada załamywała nerwowo ręce - Dlaczego o tym nie wiedziałam.

- Córnka prosiła, żeby nie mówić. Że jeszcze nie może, nie chce. Trzeba dać jej czas.

- Czy pan wie jak się martwiłam? Ile nocy nie spałam? A ona tu, u pana...

- Ona jest teraz najważniejsza - mężczyzna patrzył jej czujnie w oczy - ona musi się uporać z przeszłością. Z przeszłością, której sobie sama nie wybierała. Posklejać kawałki życia tak, by jak najmniej bolało.

- Wróci do domu? - Adrianna zapytała zrezygnowana.

- Mam nadzieję - sąsiad uśmiechnął się po raz pierwszy - to dobra i silna dziewczynka.

- Proszę ją przekonać - Adrianna wstała zbierając się do odejścia - będę czekać tak długo jak będzie trzeba - dodała opuszczając mieszkanie.

Nigdy żadne okno nie miało dla niej takiego znaczenia jak teraz to u sąsiada. Ada przysunęła sobie swój fotel bliżej komody, by przez otwarte okno lepiej móc obserwować co się u niego dzieje. Mogła tak spędzać kilka godzin dziennie. Wpatrywać się w falujące firanki i czekać na pojawienie się córki. Wsłuchiwać się w unoszone przez wiatr dźwięki i nucić wraz z nią znane z dzieciństwa piosenki. Dziwna to była terapia. Zrodzona z potrzeby serca i mądrej cierpliwości. I chyba skuteczna, bo dziś sąsiad Antoni zatelefonował do Ady oznajmiając radośnie - Magda właśnie po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęła...